

Iwona Gajda

Hologramowy Świat II



Jaźń

Iwona Gajda

Hologramowy Świat

Jaźń

Spis Treści

Rozdział Pierwszy

Światło i Cień Afryki 8

Jaźń wzywa bohaterkę w senne wizje Afryki, aby odkryła prawdę o ludzkości i o sobie. Trafia do południowej Afryki w chwili ogłoszenia zniesienia niewolnictwa. Na jej drodze pojawia się Nelson Mandela.

Światło

Nadzieja

Dolina Łaski

Chrzest

Głębia

Rozdział Drugi

Wolność i Zniewolenie 28

Płynąc rzeką strachu, bohaterka poznaje losy zniewolonej Afryki – od handlu ludźmi, przez kolonializm, aż po iluzję wolności. Odkrywa, że prawdziwe zniewolenie rodzi się z lęku i ego.

Freetown

Wolność

Przemiana

Ponad Ego

Absolut

Rozdział Trzeci

Droga Przebudzenia 50

Jaźń prowadzi bohaterkę przez historie walki z niewolnictwem i duchowej przemiany. Spotyka symbole odwagi, nadziei i prawdy, które ukazują, że przebudzenie zaczyna się w sercu i prowadzi ku wolności.

Droga

Przebudzenie

Wiara

Tchnienie

Rozdział Czwarty

Jedność i Prawda Jaźni 68

Docierając do początków ludzkości, bohaterka widzi, jak rodził się strach i pierwsze zniewolenie. Rozpoznaje swoją własną rzekę zniewolenia, by w końcu rozpuścić kajdany ego i poznać prawdę o jedności wszystkiego.

Duch

Obłąd

Wolni

Ja

HOLOGRAMOWE VADEMECUM 86

Jaźń

Duchowe ścieżki Afryki – wiara, która przetrwała wszystko

Apartheid

Nelson Mandela

Wstęp

Noc otula ziemię ciepłem i koi melancholijną muzyką gwiazd. A wiatr kołysze ludzi do snu niczym matka, niosąc pieśni w każdy zakątek globu: prawdziwe i czyste jak łzy miłości. Te, które wydobywają się z głębin serca i leczą duszę. Ta hipnotyczna muzyka przytula także mnie, więc powoli i spokojnie odpływam wraz z nią w inne światy. Śnię. I oto mityczne bóstwa wychodzą zza chmur i oplatają drzewa z każdej strony. Widzę, jak wznoszą ręce ku niebu i ściągają białą mgłę. A ta, niczym rwąca rzeka spływa strugami w kierunku ziemi i osiada na rozłożystych koronach drzew, tworząc gęstą pierzynę. Już las znika pod ciężką, mokrą zasłoną. Nie widać nic prócz białej powłoki i tych nut, które krążą z wiatrem w górze, układając pieśni piękne jak spełnienie. Nie wiem, czy zdołam, ale próbuję złapać je wzrokiem, dotknąć myślami. Aby poczuć ich lekkość... Gdy nagle jakiś przytłumiony głos dochodzi z oddali: *Tutaj jestem, dotknij mnie!*

Wyteżam zmysły, rozglądając się dookoła. Daremnie. Mgła podzieliła przestrzeń na pół. Pod grubą powłoką nie widać nic. Powyżej jest tylko czysta otchłań i nuty.

Dotknij mnie! – przytłumiony głos wydobywa się znikąd. Czuję, że sięga mojej głębi.

Czego mam dotknąć?

I wtem z białej mgły wyłaniają się kształty: postaci ludzi, zwierząt oraz szalaśców z trawy. Widzę pradawny świat sprzed tysięcy lat, jakąś osadę ukrytą wśród gęstych drzew i zarośli. Czuję zapach wilgotnych traw, które zdają się mówić do mnie jednym głosem. Ja zaś wchłaniam

tę aurę niczym gąbka, przesiąkając jej smakiem.

Kim jesteś? – pytam zaskoczona.

Twoją jaźnią.

Jak to: moją jaźnią? Przecież dopiero co wyłoniłaś się zza mgły, tworząc ludzi i las sprzed tysięcy lat. To sny, to nie prawdziwa ja!

Niby tak, lecz poczułaś mnie w sobie. Dotknęłaś.

Nie rozumiem. Nigdy o tobie nie słyszałam. A żyję od dziesiątek lat, w zgiełku świata i w ciszy nocy, próbując pojąć sens mojego istnienia. Zanurzam się w sercu i w duszy; zgłębiam wiedzę, by znaleźć drogę do zrozumienia siebie i świata.

Więc odnalazłaś mnie wreszcie: prawdę, swoją jaźń. I oto jestem. I wzywam cię w drogę!

Nie mogę tak po prostu sobie pójść. Nie znam cię. Gdzie miałabym iść? W jakim celu?

Bum. Bum. Muzyka bębnów wypełnia przestrzeń. Czuję, że nie jest obca, lecz moja: w każdym swym brzmieniu, drganiu, nucie. Coś we mnie zmienia, pochłania do głębi, powoli...

Znajdź słowa skradzione ludziom. Zdejmij z nich kajdany. Niech będą wolni!

O czym ty mówisz?! Jakie kajdany?

Te, które sami sobie pozakładali w drodze. Możesz to zrobić, więc idź!





Rozdział Pierwszy

Światło i Cień Afryki

Światło

Lekka jak gwiazdny pył, ledwie widoczna niczym cień, dryfuję po otchłani nieba. Czas obraca globem, zmieniając kolory przestrzeni, zupełnie jakby rzucał mną po szachownicy życia. I tak – z jasnej, iskrzącej słońcem czeluści – wpadam nagle w denną czerń nocy, aby za chwilę kolejny raz powitać świt. A czasami i zorzę, która przerywa monotonię obrazów, wprowadzając kolorowe pasma światła. I tak płynę bezwolnie, nie wiedząc nawet, gdzie ani po co. Choć przyznam, że jakaś część mnie domaga się prawdy. Spoglądając w dół, próbuję rozpoznać epokę.

Tu czas nie istnieje – szepcze Jaźń, oplatając mnie słowem.

Jak to? – poszukuję jej wzrokiem. – Przecież musi być jakaś kolejność, a także przyczyna i skutek!

Przestań analizować, lecz patrz i słuchaj głosu Ziemi. Ona ci wszystko opowie.

Być może – przyznaję, wyłapując nuty krążące w otchłani. Te zaś nadchodzą falami niczym wiatr, układając się w jakąś historię. Próbuję rozpoznać jej brzmienie, mimo że jeszcze nie słyszę wyrazistej barwy.

Czy jest to jakiś płacz bądź szloch? – pytam, dotknięta dreszczem bólu. – Albo modlitwa? – wyostrzam zmysły, odczytując w linii melodycznej iskrę nadziei, która ociepla serca. Z miejsca rozgrzewa także moje. I oto stoję na ubitej ziemi, czując zapach drewna, mydła, potu i mąki. Widzę kościół z bielonymi ścianami i pokrytym strzechą dachem.

Przed nim gromadzą się ludzie – kobiety z zawiniętymi na głowie chustami, mężczyźni w prostych płóciennych koszulach i dzieci w ubraniach uszytych z różnych skrawków materiałów. Ich twarze są czarne, oliwkowe, żółte, białe... Widzę wiele ras. Gdzie jestem?

To Genadendal – podpowiada Jaźń. – 1 sierpnia 1834 roku, dzień oficjalnego zniesienia niewolnictwa.

Ach tak! – obejmuję przestrzeń wzrokiem. Jest to afrykańska osada położona na wschód od Kapsztadu. Pierwsza chrześcijańska misja, enklawa oraz ostoja miłości i duchowej niezależności w czasach niewolnictwa. To miejsce, gdzie wszyscy są sobie równi: mają prawo do nauki, modlitwy i wspólnego stołu.

Choć dookoła ból i zło. Mało kto podnosi oczy, by świętować ten dzień. To za wcześnie. Jeszcze trzeba cierpieć, znosić katusze i męki ze strony białych, czuć pręgi biczów na ciele. Jeszcze nie czas na dziękczynienie. A jednak ci w Genadendal przychodzą do Boga, aby Mu zawierzyć. Z pokorą i ufnością powierzyć swoje życie. Aby, jako wybrańców, poprowadził ich ku wolności.

Alleluja! – głos chóru wybrzmiewa w murach świątyni. Drewniane ławy skrzypią pod ciałami wiernych, ściany zdają się pękać w szwach, gdy oto kaznodzieja wychodzi na mównicę, zaprowadzając ciszę.

Wołali do Pana w swej niedoli, a On wybawił ich z ucisków. Wyprowadził ich z ciemności i cienia śmierci. Kajdany im pokruszył! – mówi mocnym głosem, trafiając wprost do serc zgromadzonych i napełniając je wiarą.

I oto światło nadziei opłata świątynię blaskiem, tworząc smugę na niebie. Jasną i wyraźną. A ta rozchodzi się na cztery strony świata, poszukując braci i sióstr. Widzę drogę biegnącą na wschód: ku Oceanowi Indyjskiemu oraz portom, skąd wyruszają statki z ludźmi z Mozambiku i Madagaskaru. Na północ zaś prowadzi inna droga – przez góry i sawanny, śladem karawan, które wloką uprowadzonych z głębi kontynentu. Na zachód ciągnie się smuga, morski szlak wiodący ku plantacjom w Ameryce i na Karaibach, gdzie życie ma cenę cukru.

Na południe prowadzi świetlista łuna ku Przylądkowi Dobrej Nadziei, gdzie splatają się losy Malajów, Jawajczyków, Afrykanów i tubylców.

Idź za światłem – mówi Jaźń.

Delikatnie i powoli próbuję uchwycić jedną z dróg. Naprężam ciało, zmysły i duszę, zaciskam w dłoni świetlistą smugę, gdy ta natychmiast rozpada się na setki drobnych, biegnących w różne strony nici. Próbuję ponownie, raz jeszcze, drugi i trzeci, lecz cały czas dzieje się to samo. Na niebie pojawiają się nowe odgałęzienia. Są one coraz drobniejsze i coraz dalsze. Wkrótce cała przestrzeń pokrywa się szlakami: świetlną mapą losów, które prowadzą do różnych części globu, w różne epoki.

Co się dzieje? – pytam.

Idź za światłem – powtarza Jaźń. – Już czas.

Nadzieja

Nie wiem dlaczego, ale słucham głosu Jaźni, który prowadzi mnie w nieznane. Przemawia przez sen i chce, abym wyzwoliła ludzi z niewoli. Chociaż to jakiś absurd, powoli podążam za jej wskazówkami. Uparcie próbuję złapać świetlistą łunę oplatającą kościół w Genadendal. Lecz ta za każdym moim dotknięciem eksploduje niczym wulkan, rozszczepiając się na miliony jasnych odgałęzień pokrywających czasoprzestrzeń.

Nie wyjdzie mi ten wyczyn – mówię, rozglądając się wokół. – Nie zdołam jej pochwycić. Nie dotrę do nikogo, nikomu nie pomogę. Nie dam rady! Słyszysz?! – krzyczę w przestrzeń.

Kajdany jednego z moich ludzi były kajdanami wszystkich – jakiś głos wybrzmiewa obok.

Co to znaczy?! Kim jesteś?! – pytam i czuję, jak światło i ciemność splatają się właśnie dookoła mnie, tworząc dziwną całość.

Nelson Mandela. Nie myśl, że wolność jest kwestią jednego istnienia. By ją osiągnąć, trzeba otworzyć niebo wszystkim.

Jestem tylko małym ludzkim ego; nie dotrę tak daleko, zginę! Za dużo we mnie ograniczeń, lęków, obaw. Nawet światło przemyka mi przez palce. Boję się. Rozumiesz?

Odważyć to nie brak strachu, lecz triumf nad nim. Odważny człowiek to nie ten, który nie odczuwa lęku; to ten, który potrafi go pokonać.

Szuuu – podmuch wiatru zakręca nagle świetlistą luną, tworząc z niej postać starszego mężczyzny. Skórę ma czarną, włosy siwe, ubrany jest w kolorową koszulę i ciemne spodnie. Na pierwszy rzut oka przypomina zwykłego mieszkańca Afryki z początku XXI wieku. A jednak jest w nim coś innego: jakaś tajemnicza siła, wola i tchnienie.

Zawsze wydaje się, że coś jest niemożliwe, dopóki nie zostanie to zrobione – mówi mocnym głosem, ustawiając się przed świątynią. Wydaje mi się, że porusza całym moim jestestwem w rytm liturgicznej pieśni, która roznosi wokół spokój. Podchodzę do niego.

Pamiętam twoje dokonania – mówię. – Nazywali cię tatą, ojcem narodu i mężem stanu. Po dwudziestu siedmiu latach spędzonych w więzieniu przebaczyłeś wszystkim: strażnikom, sędziom, przywódcom apartheidu... Zapomniałeś o ich zbrodniach, torturach, poniżeniu. Przełknąłeś trzydzieści lat upodlenia i wykańczania milionów twoich braci!

Nie zapomniałem! – przerywa mi stanowczym tonem. – Ale wybrałem drogę przebaczenia i pojednania. Prosiłem mój lud, aby odrzucił zemstę i budował nowy dom. To było jedyne rozsądne rozwiązanie: przygasić ból zbrodni miłością.

A co ze sprawiedliwością?

Ding-Dong – dźwięk dzwonu przerywa nasze dywagacje. I nagle

z hukiem otwierają się wrota kościoła. Idzie ksiądz z krzyżem uniesionym wysoko, a za nim ministranci w białych szatach i grupa wiernych przyobleczonych w odświętne stroje. Chwilę potem tłum wylewa się z wnętrza świątyni jak woda, tworząc uroczysty orszak, który śpiewem wielbi Boga i błaga Go o wyzwolenie.

Nie wiem, dlaczego tu jestem – przyznaję szczerze, obejmując procesję wzrokiem. – Mam mętlik w głowie, czuję strach.

Chodź ze mną – Mandela rusza w prawo. – Do mojej rezydencji. Pomożesz mi znaleźć dokumenty.

Nie rozumiem... – zdezorientowana spoglądam na wioskę. – Którędy mamy iść i gdzie? Przecież jest rok 1834, jeszcze się nie narodziłeś, wokół bieda i brud, to świat niewolników i ich oprawców.

Wyczuwam wiele wątpliwości w twoim ja. To dobry znak – wzdycha wódz. – Wkrótce jaźń wyłoni się z mroku i zobaczysz światło, za którym podążysz.

Wzdycham niepewnie. Nie drażę tematu, może wie lepiej. Nieważne już, skręcamy na polną drogę. I wtem przed nami zmienia się sceneria. Brudne gliniane domy okryte strzechą wyrównują swoje ściany, pokrywają się bielą, rosną w oczach niczym grzyby po deszczu. Na ich dachach błyszczy dachówka, obok powstają zadbane ogrody.

Widzę również liczne warsztaty, z których dochodzi stukot młotów, a w oddali – sklepy ze sztuką i rękodziełem.

Co się dzieje? – pytam Mandelę. – Który to rok?

2007 – odpowiada spokojnie. – W jednym z tych pomieszczeń położyłem projekt organizacji, która będzie promować pokój, sprawiedliwość i równość na globalną skalę. Miałem tam ważne zapiski.

Po co ci one teraz? Po śmierci?

Nie mogę spocząć, bo z wolnością wiążą się obowiązki; moja długa

droga jeszcze się nie skończyła. Z ludzkich serc płyną łzy. Nie słyszysz, nie widzisz ich?

Ding-Dong – nagle odgłos dzwonu tnie przestrzeń na pół. Ustawiając mnie w środku, a resztę życia na zewnątrz. Ta zaś wiruje z wiatrem i światłem. Widzę, jak wszystko przemyka w czasie, tworząc jeden niezwykle taniec. Miasta zmieniają oblicza, rzeki gubią swój bieg, a góry i chmury zlewają się w jeden mistyczny sen. Nie wiem, co się dzieje, ale znikąd zaczynają płynąć łzy. Nie mają początku ani końca. Są ruchem, czuciem, świadomością bez formy i granic. Były i będą, jak gdyby wciąż powstawały. I wtem coś się zmienia. Opadają emocje, ziemskie pragnienia, głód, żądze, wspomnienia. Wraz z nimi pytania, wątpliwości i strach. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale czuję ja. Nie ziemskie, lecz to ukształtowane z ducha. A teraz pojawiają się obrazy. Tysiące ludzkich twarzy: czarnych, żółtych, białych. Mają blade, zgaszone oczy, wykrzywione w bólu usta. Zauważam brudnych nędzarzy, głodne dzieci, torturowane kobiety. Jak również żołnierzy, bandytów, polityków oraz innych ludzi: zagubionych, zanurzonych w używkach, zdesperowanych, a także tych wypiełgowanych do granic możliwości. I wszyscy cierpią.

Co teraz? – pytam, przymykając oczy. – *Czuję, ale i tak nic nie zrobię, nie pomogę. Nie mogę.*

Możesz – głos Jaźni wybrzmiewa z oddali. – *Zawsze jest nadzieja. Trzeba tylko dostrzec jej blask. Idź i łap!*

Dolina Łaski

Jaźń coraz mocniej wybrzmiewa we mnie. Szepcze w trakcie snu głosem kojącym jak marzenie, mami spełnieniem i wskazuje mi drogę. Nalega, abym podążyła jej śladem i odkryła moje ja – obnażone

z ludzkich konwenansów, nakazów i ram – oraz spełniła powierzoną mi misję wyzwolenia ludzi z niewoli. Choć nie rozumiem, o co chodzi – posłusznie podążam za nią.

Właśnie przeniosła mnie do roku 1834. Do Genadendal – małej osady w południowej Afryce, której mieszkańcy świętują zniesienie niewolnictwa. Jest tam również duch Nelsona Mandeli, prezydenta Republiki Południowej Afryki z końca XX wieku, który wyciska ze mnie łązy prawdy i oczyszcza ze złudzeń. Wyczuwam, że chce mnie wciągnąć w swoją wizję budowania wolności po śmierci, dlatego prowadzi mnie do swojej rezydencji z roku 2007.

Nie chcę iść z tobą – przystaję nagle. – Nie mogę. Jażń wskazuje mi inny kierunek – oznajmiam. – Kto wie, być może w odmieście czasu nasze drogi zejdą się jeszcze raz. Jednak teraz mój czas nie jest z tobą.

Tak. Idź swoją drogą – Mandela stanowczym tonem wchodzi mi w słowo. – *Każdy z nas niesie własne światło. I niech tak zostanie. Spotkamy się niebawem w miejscu, gdzie ludzkość potrzebuje go najbardziej* – dodaje, odwracając się w przeciwną stronę.

Patrzę, jak odchodzi w stronę jakiegoś konturu budynku. To biały, rozległy dom z kolumnowym gankiem, rzędami okien i cichym ogrodem wokół. Poruszone wiatrem drzewa, kamienne stopnie. Wchodzi po nich powoli. I nagle sylwetka wodza rozplywa się w migoczącym powietrzu przyszłości. Ding–Dong – odgłos dzwonu sprowadza mnie znów do roku 1834. I oto stoję w Genadendal, na jakimś placu, a obok mnie protestancki misjonarz. Pastor Hallbeck, opiekun duchowy i przywódca osady – rozpoznaję. Mówi do mnie i poprawia mankiety białej koszuli, które wystają spod ciemnego surduta. Mam wrażenie, że chce tym gestem pokazać gotowość do działania.

Czekamy na kilkaset osób – mruży oczy w słońcu. – Na ludzi, którzy

właśnie odzyskali wolność. Chociaż dotrą do nas dopiero za kilka lat, już dziś musimy się przygotować. Będą głodni i schorowani, ale też pełni nadziei na nowe życie – dodaje z namysłem. – Nie wystarczy otworzyć im drzwi. Trzeba otworzyć ich serca, by nie zwątpili. Oprócz chleba musimy dać im wiedzę i stworzyć godne miejsce do życia.

Czyli co zamierza pastor zrobić? – pytam, obejmując wzrokiem przestrzeń: starą kuźnię z zapadniętym dachem i szkołę bez ławek dla dzieci niewolników.

Kupię starą prasę Gutenberga. Wydrukuję modlitewniki, pieśni i elementarze. Otworzę seminarium dla nauczycieli. Niech niosą kaganek wiedzy! – wymienia z pasją, a każde jego słowo miesza się ze światłem niczym obłok dobrej energii i – przenikając ściany domostw – wnika w ludzkie ciała oraz dusze.

Przecież na to potrzeba pieniędzy! – sprowadzam jego myśli ku ziemi.

Są – mówi natychmiast. – Wspiera mnie niemiecki szlachcic, Victor von Schönburg-Waldenburg. Mam również fundusze z Holandii.

Plum! – on jeszcze mówi, gdy deszcz łez spada nagle z nieba, a zimny wiatr prowadzi mnie ku studni. Tam widzę mężczyznę o skórze czarnej jak noc, pochylonego nad krawędzią, zagłębionego w głąb ciemnego wnętrza.

Nie ma wody... – szepcze, po czym powoli siada na ziemi. Wyczerpany, blade, obolały. Jeszcze sączy się krew z jego stóp, a blizny na plecach nie są zagojone.

Podaję mu kubek z wodą. Pije do dna. Potem drugi. I trzeci.

Skąd ją masz? – podnosi głowę.

Z góry – odpowiadam. – Dokąd idziesz? – pytam.

Do Genadendal, czyli Doliny Łaski. Tam znajdę schronienie. Nie złapią mnie. Już niedaleko – dyszy. – Wystarczy, że przejdę przez Riviersonderend.

Rzeka nie jest w tym miejscu głęboka.

Spoglądam, jak powoli podnosi się z kolan i rusza, powłócząc nogami.

Mam rodzinę – mówi. – Żonę i dwoje dzieci. Boję się, że nigdy ich nie zobaczę. Zmuszani są do ciężkiej pracy. Bici.

Wolność idzie – odpowiadam. – Dzisiaj zniesiono niewolnictwo. Wkrótce będziecie sami decydować o własnym losie.

Proszę, odpuść te próżne nadzieje... – szepcze cierpko. – Przed nimi jeszcze cztery lata przymusowej pracy. Nie wytrzymają. Skonają.

Chcę coś odpowiedzieć, ale nie potrafię. Dławię się łzami. Plusk. Plusk. Zalewają mi oczy, policzki, usta i ciało. Czuję ich słony smak, a Jaźń przenosi mnie w sam środek obcego miasta. Do dziecięcych lat...

I oto sama, małeńka jak okruszek, wędruję chodnikami nocą. Nie ma wokół nikogo bliskiego: ani mamy, ani taty. Są jedynie obce twarze, wpatrzone we mnie jak w obrazek z innego świata. Boję się ich wzroku. Czuję bicie serca oraz ból duszy, który właśnie teraz, znienacka, powraca. Z góry spoglądam na postać dziewczynki, która nie wie, którądy iść. Ciężko powłóczy nogami, zupełnie jak ten niewolnik. Chcę ją przytulić, lecz ta umyka we mgle. Zamiast niej – ciemna ziemia. Afryka. Woła mnie przez sen o ratunek milionami ludzkich ust.

Co się dzieje? Próbuję cokolwiek zrozumieć, poskładać strzępki myśli w całość... *Plusk.* Oto Jaźń maluje dziwny obraz Afryki. Na wybrzeżach Ghany, Beninu, Nigerii, Senegalu i Angoli dostrzegam forty, porty i zamki: miejsca przeładunku ludzi. Dzielone są rodziny. Dzieci są znakowane i jak bydło załadowywane na statki – w zamian za broń, alkohol, wpływy. Lokalne elity i królewskie afrykańskie rody same wypychają swoich braci do niewoli.

Nie wytrzymają czterech lat... – powtarza Afrykańczyk, z trudnością przesuwając nogami. – Dlaczego ten świat jest taki niesprawiedliwy? –

mówi. – *Czy kiedyś wszyscy będziemy wolni?*

Zerkam na jego mokre oczy. Szukam odpowiednich słów. I już chcę coś powiedzieć, gdy Jaźń przesuwam mnie do przodu w czasie o godziny, dni, lata i epoki. Przede mną przewijają się coraz to nowsze dzieje. A ziemia, zamiast iskrzyć wolnością, czernieje. Niewolnictwo nie znika. Przeciwnie – jest go coraz więcej. Widzę je wszędzie...

W Mauretanii ludzie wciąż rodzą się w niewoli, dziedzicząc status sługi niczym nazwisko. W Sudanie i Sudanie Południowym kobiety są porywane, dzieci zniewalane, zaś praca przymusowa trwa pod osłoną wojny. W Nigrze, Mali i Czadzie poddaństwo nie znika: żyje w strukturach, w języku, w obyczaju. Plusk. Niewolników przybywa. Widzę ich w Europie, w Azji, w Amerykach. Na wszystkich kontynentach. W miastach, na ulicach, w domach...

Dlaczego ono nie znika – pytam – lecz wnika w ludzkie istnienie? Co się dzieje?

Teraz zmień kierunek – odpowiada Jaźń. – I wróć przez czas. Do źródła.

Chrzest

Gęsta mgła oplata kulę ziemską, tworząc wokół niej białą skorupę z kropel wody i chłodu; ta zatrzymuje światło słońca, dlatego na ziemi zaczyna brakować dobrej energii. Ludzi zżera samotność i pustka. Z desperacją szukają czystego powietrza, dławiąc się własnymi oparami. Nieporadnie budują z nich iluzoryczne światy, którymi karmią własne ego. A ono chce więcej i więcej, każdego dnia przesuwając granice rozpaczy.

Są niewolnikami własnych żądz – szepcze jaźń. – Przez to nie widzą wolności.

Być może – odpowiadam, oplatając wzrokiem kolejne cywilizacje; te wyrastają i upadają w różnych miejscach globu oraz o różnym czasie. I choć wszystkie są inne, dostrzegam, że łączy je to samo duszne powietrze. Ludzie dławią się toksyną; odurzeni, szukają ulgi w zniewalaniu siebie i innych. A mechanizm ten napędza się sam: jak swoiste perpetuum mobile.

Tak też, pod białą skorupą mgły, rozlewa się rasizm i kolonializm. Wybuchają wojny. Obserwuję, jak dyktatorzy zniewalają własne narody, zaś pod płaszczem szerzenia religii rozprzestrzenia się zło. Powstaje coraz więcej form zniewolenia: seks, używki, praca...

Czy to kiedyś minie? Czy ludzie się opamiętają?! – pytam w amoku, przyglądając się życiu od jego zarania aż po współczesność. Po czym, zgodnie ze wskazówkami Jaźni, zaczynam przesuwac się wstecz: wprost ku przeszłości.

Plum. I oto łzy prawdy przemywają mi oczy. Słyszę ich dźwięk, gdy opadają na taflę wody. Zerkam w dół. Wąska rzeka płynie spokojnie między kamieniami, połyskując w słońcu. Staram się odgadnąć, gdzie jestem, rozglądam się wokół. Jest wczesne popołudnie. Cień gór opada na rozległą dolinę otoczoną skalistymi, surowymi zboczami, pokrytymi krzewami fynbosu i akacjami. Powietrze pachnie wilgotną ziemią i dymem z ognisk.

To dolina Baviaanskloof – rozpoznaję. Tak, znowu jestem w Genadendal. Tylko nie w XIX wieku, lecz znacznie wcześniej, gdyż nie ma tu domów ani kościelnej wieży. Jedynie dzika roślinność. – *Dlaczego tu?* – zastanawiam się.

Nie rób tego, Vehettge – dochodzący z zarośli męski głos wyrывa mnie nagle z zadumy. – *Gdy pozwolisz obcemu polać twoją głowę wodą, przodkowie odwrócą się od ciebie.*

Przenikam trawy, aby zobaczyć, kto mówi, i wtem przede mną rysuje się postać mężczyzny o smukłej sylwetce. Jego ciało pokrywa czerwona farba. Na szyi i nadgarstkach dostrzegam ozdoby z muszli i kości, w uszach zaś ma niewielkie kolczyki. To rdzenny mieszkaniec południowej Afryki, najprawdopodobniej tubylec z ludu Khoikhoi.

Obok niego stoi kobieta, chyba jego współplemiennica, choć ubrana jest tylko w prostą, lnianą suknię. Ma około trzydziestu pięciu lat.

Nie rób tego, Vehettge – powtarza mężczyzna. – Tsui’goab, który czuwa nad życiem, i Heitsi-Eibib, duch przodków i mądrości, nie będą cię znać, bo sama wymażesz swoje imię z ich pamięci – mówi, podnosząc głos. – Żadna starszyzna nie przyjmie cię do ogniska. Kobiety nie wejdą z tobą do jednej chaty. Nie dostaniesz ziemi, nie będziesz miała ochrony, nie pozwolą ci pracować ani należeć do jakiegokolwiek plemienia. Dla nas przestaniesz istnieć.

Zdecydowałam się już, Koenab. Nie tylko ja – spokojnym głosem odpowiada kobieta, kierując wzrok na wodę. – Razem ze mną ochrzczeni zostaną Magerman oraz nasi trzej inni bracia.

Ale ty jesteś kobietą. Będzie ci trudniej. Znikąd nie otrzymasz wsparcia. Koloniści też ci nie pomogą. Słyszałam, że Schmidt nie ma prawa nikogo ochrzcić, gdyż nie jest wyświęconym duchownym uznanym przez Holenderski Kościół Reformowany. Zostaniesz sama. Bez nas. Bez nich. Bez nikogo.

Nieprawda. Bóg będzie ze mną. To, co się we mnie narodziło, nie należy ani do duchów, ani do białych. Należę teraz tylko do jedyne Boga. Umarłam już dla tamtego życia. Żegnaj, Koenab.

Powoli i łagodnie unoszę się, by wzrokiem objąć całą dolinę Baviaanskloof. Wąska rzeka przecina przestrzeń jak srebrna nić, połyskując w południowym świetle.

To źródło życia: dla ludzi, zwierząt, dla ciszy – myślę, po czym spoglądam dalej, poza horyzont.

Za pasmem wzgórz majaczy zarys Kapsztadu. Przyglądam się miastu – białej zabudowie skupionej wokół portu, gdzie cumują statki; kołyszącym się na tle morza masztem Kompanii Wschodnioindyjskiej; a także ulicom, które tętnią życiem. Obserwuję też europejskich urzędników w perukach, rzemieślników z narzędziami i niewolników z beczkami i koszami; kobiety w długich spódnicach oraz dzieci o mieszanych rysach twarzy.

Miasto dusi cywilizacją: tym szybkim krokiem, głośnym targiem, nerwowym obiegiem pieniędzy. Dławi władzą i jej rozkazami, jak również kościołem i jego nakazami – rozważam, wyczuwając strach, kary i cierpienie. Toteż czym prędzej odwracam wzrok i wracam do doliny, gdzie czas zwalnia.

A tam, nad brzegiem rzeki dostrzegam niską chatę z gliny i trawy, ukrytą wśród kamieni. Przy niej wąski ogród: grządki marchwi, kapusty i ziół. Wewnątrz chaty siedzi samotny człowiek, misjonarz, pochylony nad Biblią.

Kim on jest? – dociekam.

To Georg Schmidt – odpowiada kobiecie głos gdzieś z głębi przestrzeni. – Niemiecki misjonarz, który przybył tu w XVIII wieku, by nieść wiarę chrześcijańską tym, których świat uznał za niewartych zbawienia. Ochrzcił mnie w 1742 roku.

Próbuję dostrzec postać, od której pochodzi głos.

Nie zobaczysz mnie – szepcze łagodnie. – Jestem już Jaźnią. Szukaj w dole.

Plum. Kolejna kropla prawdy opada na rzekę. Vehettge, kobieta z ludu Khoikhoi, która przed chwilą rozmawiała z tubylcem, podchodzi

ostrożnie do wody i zatrzymuje się przy jej brzegu. Jej długie, kędzierzawe włosy opadają na odsłonięte ramiona. Obok niej zauważam Georga Schmidta. Ubrany jest w białą koszulę, w jednej dłoni trzyma Biblię.

Czy wierzysz, że Jezus Chrystus jest Synem Boga Żywego? – pyta spokojnym głosem.

Wierzę – szepcze Vehettge, przymykając oczy.

Czy odrzucasz duchy, którym dotąd służyłaś, i przyjmujesz życie w Chrystusie?

Tak, odrzucam je. Jezus jest moim Panem.

Teraz Schmidt zanurza dłoń w wodzie i powoli polewa jej głowę.

Vehettge, chrzczę cię w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Nadaję ci imię Magdalena.

Woda spływa jej po czole i włosach. Kobieta otwiera oczy i patrzy w stronę gór. Nie szuka spojrzeń. Milczy, a ja razem z nią. Mam wrażenie, że zastygamy w bezmiarze czasu, tworząc niewidzialny byt, który rezonuje ciszą oraz światłem. Czuję, że nowa energia wypełnia całe moje istnienie. Wiem, że jestem i żyję – mimo że nie rozpoznaję siebie. Niczym eter, niewidoczna i lekka, przedostaję się wyżej, ponad grubą powłokę mgły, wchłaniając słońce. Mam wrażenie, że krążę w bezmiarze. Nie czuję granic czasu ani miejsca.

Kim teraz jestem? – pytam, unosząc się w ciszy, która nie ma końca.

Mną. Jednością i wolnością – odpowiada Jaźń moim głosem.
– *Prowadzona boskim światłem. Podążajmy dalej. W prawdę.*

Głębia

Spokojna melancholijna muzyka wypełnia przestrzeń. Dziwną nostalgią i tęsknotą za prawdą, która jest nieuchwytna, chociaż trwa we

mnie oraz w każdym innym istnieniu. Jest wszędzie. Ukryta w głębi, tętni życiem i domaga się zauważenia. Ujawnienia. Docenienia. Chce ukazać swą moc, aby nadać sens wszelkiemu istnieniu, więc wysyła w eter kojące nuty nostalgii.

Dlaczego po prostu nie wyjdzie? – dociekam, zanurzona w otchłani nieba i snu.

Jażn jest przestrzenią, do której trzeba dotrzeć – delikatny głos przenika mnie spokojem. – Jest przeczuciem, wiarą, miłością. Można do niej dojść poprzez ciszę, w której milknie wszystko, co nieprawdziwe, znika cała iluzja. Gdy nie trzeba już zadawać pytań, wtedy prawda sama odpowiada z głębi. Jak oddech, który tchnie życiem.

Gdzie jesteśmy? Czy to jakiś obszar ziemskiego istnienia?

Tak. Ten, który porządkuje świat, nadając mu sens. Życie jest w nas, a ziemia ma teraz swój czas. Zejdź do niej.

Po co?

Ale nikt nie odpowiada. Natomiast zamiast słów pojawia się blask, który rozświetla obraz. Widzę ludzi siedzących przy czarnym, drewnianym stole, w jakiejś starej sali zamkowej. Mają założone peruki, eleganckie stroje, czarne sutanny z białymi koloratkami.

Tak, to duchowni Kościoła Reformowanego – rozpoznaję.

Obok nich siedzą wysocy świeccy urzędnicy w ciemnych surdutach. Na blacie leżą notatki, pióra i dokumenty opatrzone firmowymi pieczęciami.

Nie rozumiem, dlaczego tu jestem – zastanawiam się.

Jest rok 1742. Właśnie trwa posiedzenie Rady Polityki Kompanii Wschodnioindyjskiej w Kapsztadzie – tłumaczy głos Vehettge, odrzuconej kobiety z ludu Khoikhoi. – Nie mów, lecz słuchaj – dodaje. – Jesteśmy prawdą ukrytą pod pozorami, głosem cizy. Jeśli ktoś nas usłyszy...

Dopiero wtedy zrozumie.

Wpatruję się w siedzących. Ktoś ważny rozpoczyna posiedzenie. Nie wiem, kto to jest, jednak wydaje mi się, że gubernator Kolonii Przylądkowej.

Sprawa Georga Schmidta, misjonarza Morawskiego, który od 1737 roku prowadzi misję w Baviaanskloof, obecnym Genadendal! – komunikuje mocnym głosem. – Trzeba nam rozstrzygnąć, czy działalność tego Niemca jest zgodna z interesem Kościoła i Kompanii.

Powietrze gęstnieje od panującego napięcia. Słyszę pomruki oraz stłumione szepty. Ktoś kiwa głową z niechęcią. Ktoś inny wodzi wzrokiem po ścianach i obrazach z przodkami, jakby szukał w nich wskazówek.

Wątpliwe – oznajmia nagle jeden z duchownych, gładząc rękaw czarnego kaftan. – Nie ma bowiem wyświęceń od Kościoła Holenderskiego. Chrzczi niewolników. Uczy ich czytać. Niszczy naturalny porządek naszego życia...

Zapada cisza. Głęboka i ciężka. Jażń zaczyna działać. Niczym magiczny eliksir prawdy rozpuszcza myśli ponad głowami, budując drogi światła. W sali robi się gorąco. Na kamienną posadzkę opadają puste słowa i zasłona pozorów.

Po co nam on? – ciągnie duchowny, próbując wejść w ton rozważli. – Schmidt nie został posłany przez nas. Nie ma naszej pieczęci. Nie ma prawa udzielać sakramentów. Jego chrzty nie mają mocy. Niech wraca tam, skąd przyjechał. Kościół zaś lepiej wypełni swoje powołanie bez tego kłopotliwego człowieka, działając w imię Boga. Głosimy więc Ewangelię wszelkiemu stworzeniu: białym, tubylcom i niewolnikom, którzy, mimo że w kajdanach ciała, mogą doznać wolności ducha.

Plum. Krople prawdy opadają na bruk. Niezręczna cisza wypełnia salę, a za oknem wiatr kreśli nowe obrazy zdarzeń, zapraszając nas

do portu w Kapsztadzie. Właśnie przyplływają dwa ogromne statki z niewolnikami. Jeden z Indii, drugi z Cejlonu. Na nabrzeżu czekają już handlarze z rodzinami. Niektórzy przyjechali wozami, inni przyszli pieszo. Wszyscy są podekscytowani, ożywieni, zafascynowani. To dla nich dzień dostawy. Mnóstwo osób zaraz zejdzie na ląd: świeży towar, kilkaset rąk do pracy. Już otwierają się klapy ładowni, a z wnętrza uderza fala smrodu – zgniłej słomy, wymiocin oraz brudnych ciał. Widzę mężczyzn, kobiety i dzieci; przerażenie i strach w ich oczach. Wszyscy są skuci łańcuchami, ledwo stoją na nogach. Mrużą oczy, nie znają języka. Nie wiedzą, co ich czeka... Wtem jakiś pastor wychodzi przed szereg. Ubrany w ciemną sutannę, z Biblią pod pachą, pojawia się obok tych ludzi niczym obłok złudnej nadziei. Podnosi kadzielnicę i błogosławi przybyłych słowami:

Słudzy, bądźcie posłuszni swoim panom według ciała z bojaźnią i drżeniem – takie wasze przeznaczenie.

Żar słońca spada z nieba. Nie trzeba słów, by opisać rozpacz i ból, które rozchodzą się w porcie, gdy wszyscy są rejestrowani i sprzedawani. Tymczasem urzędnicy Kompanii przykładają do ciał niewolników rozpalone, metalowe pręty, wypalając znak właściciela: literę, inicjał albo symbol farmy. Od tej pory znikają imiona ludzi – ich dawna tożsamość i wola – a ich miejsce zajmują znamiona.

Skóra syczy, zapach palonego mięsa wypełnia powietrze. Ale nie tylko, ponieważ jeszcze słychać muzykę i cichy śpiew:

नाहं देहो अस्मि [Nie jestem ciałem.]

दुखं अस्ति, परन्तु अन्त्ये अस्ति [Cierpienie istnieje, ale ma swój kres.]

Melodia unosi się łagodnie, jakby płynęła z samego wnętrza istnienia. Jest delikatna, czysta. Rozświecła przestrzeń bez dźwięku, niczym szepta pamięci o czymś, co zawsze było obecne. W jej tonach brzmi to samo ciche oczekiwanie; nostalgia, która przeniknęła mnie, gdy zespoliłam się z Jaźnią; łagodne pragnienie spełnienia, które nie potrzebuje słów.

Co to za muzyka? I kto ją śpiewa? – dopytuję, przenikając przestrzeń.

To hinduistyczne i buddyjskie mantry, które mają ukoić umysł i oddzielić świadomość od cierpienia ciała – odpowiada Vehettge. – *Niewolnicy połączyli się właśnie z Jaźnią, by czerpać siłę od Boga. Znaleźli drogę do nas.*







Rozdział Drugi

Wolność i Zniewolenie

Freetown

Jestem Jaźnią, ukrytą w głębi wszechświata. Obecna w powietrzu, w wodzie i ziemi. W każdym fluidzie energii, który porusza się w przestrzeni, tworząc wraz z innymi ścieżki, pola i ślady. Czasem trwam w nich długo, latami, a czasem zmieniam bieg, wyznaczając nowe drogi, aby życie mogło toczyć się w naturalnej harmonii i porządku. To dziwne, bowiem choć istnieję w tych ruchach i wiem wszystko o świecie, to jednak nie czuję nic: ani bólu, ani radości, szczęścia ani rozczarowania. Po prostu jestem. Jak odwieczny świadek istnienia znający prawdę, gotowy do jej ujawnienia.

Pięknie to nazwałaś – szepcze Vehettge, kobieta z ludu Khoikhoi, która zawsze pojawia się, kiedy coś ważnego ma się odsłonić. – *A co teraz widzisz?* – pyta z uwagą.

Patrzę na Kapsztad. Na ludzkie organizmy, w których osadza się strach. Obserwuję ludzi, którzy od kilkuset lat przybywają tu z różnych stron świata: z Mozambiku, Madagaskaru, Angoli, Indii, Ceylonu, Jawy czy Timoru. Sprowadzani, by stać się niewolnikami. Pracują na plantacjach winorośli, w kopalniach, w warsztatach i domach białych właścicieli. Tam są bici, gwałceni, głodzeni i zastraszani. Aby przetrwać, uczą się nie czuć. Nie krzyczeć. Nie płakać. Nie marzyć. Nie uciekać. Nie mówić. Tłumią każdy ludzki instynkt, nawet macierzyński. Strach wnika w ich ciała. Osiada w komórkach, przesiąka oddech. Z roku na rok zamienia się w traumę, która zostaje zapisana głębiej niż pamięć: w strukturze ciała, w napięciu mięśni, w rytmie serca... Przechodzi z pokolenia na pokolenie, tworząc pola energetyczne w przestrzeni. Pola cierpienia i zwątpienia. Te zaś odcinają drogę do mnie – do Jaźni.

Poczekaj! – przerywa mi nagle Vehettge. – *Coś się dzieje. Jakaś fala*

nowej energii przy pływa znad oceanu wraz z brytyjską flotą!

Ciekawe który to rok? – pytam, nie odrywając wzroku od masztów, które mającą na horyzoncie.

1795 – odpowiada rozbrzmiewający nagle z wnętrza Jaźni głos Nelsona Mandeli. – Brytyjczycy przejmują kontrolę nad Kolonią Przylądkową z rąk Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Nadchodzi nadzieja na lepsze traktowanie. W niewolnikach zaczyna budzić się przeświadczenie, że ci nowi władcy przyniosą wolność.

Możliwe – przytakuje cicho, spoglądając na modlących się ludzi. W ich ciałach coś drży, jak gdyby powstawały nowe energetyczne ścieżki, pola, vibracje.

Spójrzcie na Karaiby, wybuchają tam bunty – dodaje Vehettge. – W Gujanie Brytyjskiej, na Jamajce i Barbadosie.

Tak. Wzmaga się opór, rośnie pragnienie wolności – tłumaczy Mandela. – Głos sumienia przebija się przez mury parlamentów. W Londynie przybywa abolicjonistów. Wkrótce wejdzie w życie ustawa zakazująca handlu niewolnikami, a we wszystkich koloniach Imperium Brytyjskiego zaiskrzą radość oraz wiara w lepsze jutro.

A ty? Co ty tutaj robisz? – zwracam się do Mandeli. – Przecież zmierzałeś do swojej rezydencji w Kapsztadzie, do roku 2007, by znaleźć dokumenty...

Znalazłem – odpowiada. – Ale teraz Jaźń prowadzi mnie do Freetown, miasta wyzwolonych. Więc podążam jej śladem, do roku 1962. Muszę porozmawiać z członkami Zgromadzenia Narodowego, aby omówić wspólne działania przeciwko kolonializmowi i segregacji rasowej.

Nic z tego nie rozumiem. Przecież jesteś wydobywającym się z Jaźni głosem prawdy. Więc co, sam prowadzisz siebie?

Nie zadawaj tylu pytań. Chodź ze mną do tego miasta.

Gdzie to jest? – dociekam. Niemniej zamiast odpowiedzi Mandeli, Jażń przenosi mnie w czasoprzestrzeni.

Dokładnie na zachodnie wybrzeże Afryki, tuż przy równiku. Zielone wzgórza schodzą tu wprost do oceanu, a nad nimi unosi się wilgoć tropików. To Sierra Leone: ziemia dzika i surowa, pełna malarycznych bagien, gęstych lasów, gorączek i nieprzebranej zieleni. Jest marzec 1792 roku. Do portu przyplływa właśnie piętnaście statków. Na pokładach znajduje się tysiąc dwieście ludzi. Czarni, biali, a także ci o mieszanych rysach. Widzę mężczyzn, kobiety, dzieci z różnych zakątków świata. Śpiewają. Modlą się do Boga. Wznoszą dziękczynne okrzyki. Radość iskrzy dookoła, energia tańczy jak szalona karuzela, która wiedzie wprost do nieba.

Plum. I oto Rzeka Prawdy oczyszcza sny. Łzy szczęścia płyną i łączą się z nami. Słyszę jakieś śpiewy.

Kim jesteście? – pytam.

Byłymi niewolnikami – odpowiada męski głos. – *Afroamerykanami, którzy walczyli po stronie Brytyjczyków w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Są z nami nasze rodziny i dzieci, jak też Anglicy: nauczyciele, urzędnicy, misjonarze. Zbudujemy tu własną osadę, którą nazwiemy Freetown. To nasza ziemia obiecana, została dana nam przez Brytyjskie Imperium.*

A ty? – dopytuję. – *Jak trafiłeś w przestrzeń prawdy, do której od dawna nikt nie znalazł drogi?*

Nazywam się Thomas Peters. Spójrz na tę ziemię. Stoję wśród wielu przybyłych na wzniesieniu. Mam czarną skórę, spracowane dłonie, a na plecach blizny po biczu. Byłem niewolnikiem przez prawie dwadzieścia dwa lata. Następnie walczyłem w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych po stronie Brytyjczyków. Po zwycięstwie obiecano nam

wolność i ziemię w Nowej Szkocji. Obiecano... I niczego nie dano. Przez lata żyliśmy w chłodzie, biedzie i zapomnieniu. Dlatego też stanąłem tam w imieniu moich braci, w imieniu całej czarnoskórej wspólnoty. Pojechałem do Londynu, domagając się ziemi, którą nam obiecano. Dziś jest wspaniały dzień. Bóg wynagrodził nasz trud. W Sierra Leone założymy miasto dla wolnych ludzi. Freetown. Spójrz, mówię teraz o tym! Znosiliśmy zimno, głód i pogardę... Lecz nie straciliśmy nadziei!

Jego mocny głos wybrzmiewa teraz w przestrzeni. Zauważam, że wszyscy wpatrzeni są w jego twarz. *Tik-Tak!* – a czas mija. Do miasta napływają kolejni wyzwoleni niewolnicy – są tutaj ludzie z Zatoki Gwinejskiej, z Angoli, Konga, Senegalu, Sierra Leone, Gambii oraz Beninu.

Skąd ich aż tylu?

Pochodzą z nielegalnych statków, które brytyjska marynarka przechwytyuje na oceanach po wejściu w życie ustawy o zakazie handlu – mówi Vehettge.

Spójrzcie, jak budują chaty z drewna, a później z cegły lub kamienia. Tworzą całe dzielnice: szkoły, targowiska, warsztaty. A także różne miejsca kultu: między innymi kaplice, bo są wśród nich anglikanie, baptyści, metodyści, a także muzułmanie oraz ci, którzy przynieśli ze sobą tradycyjne religie z Afryki Zachodniej.

Tik-Tak! – mija kilkadziesiąt lat, we Freetown mieszka już pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Potomkowie wyzwolonych tworzą społeczność – Krio. Mają swój język. Noszą europejskie i afrykańskie ubrania.

Czas już na mnie – Mandela wyrывa mnie nagle z zadumy. – Spotkamy się niebawem.

Gdzie idziesz? – spoglądam za nim.

Swoim śladem. Ty ruszaj własną drogą. Spotkamy się niebawem. – powtarza.

Wolność

Czarna noc otula Afrykę. Mroczna niczym pozbawione nadziei myśli niewolników i ciężka jak ich oddech. Mam wrażenie, że gasi każdą iskrę wiary, która próbuje żyć. I tłumi każdy płomień miłości... – jak ten, który zapłonął w Sierra Leone. Jeszcze widzę radosne twarze byłych niewolników, którzy dotarli do swojej Ziemi Obiecanej, jeszcze patrzę na Freetown – pierwsze miasto wolnych, zarzewie nowego życia – a swoją obecnością przenikam już resztę afrykańskiego kontynentu.

Na zachodnim wybrzeżu zacumowane są statki gotowe do załadunku ludzi – mówię, obserwując europejskich kupców i lokalnych pośredników, którzy, pazerni zysku, zacierają dłonie. W głębi lądu, w rejonach Senegambii oraz Dahomeju, zbrojne grupy łapią już mieszkańców wiossek: kobiety i dzieci. Patrzę, jak wiążą ich sznurami, po czym prowadzą pieszo przez lasy i bagna, wprost do portów.

Na południu Sudanu podobnie się dzieje – dodają. – Afrykańscy i arabskojęzyczni handlarze sprowadzają niewolników na wybrzeże, skąd przewożą ich do Zanzibaru, a potem do Arabii, Indii i na Półwysep Perski.

Na Saharze zaś długie karawany z porwanymi ludźmi ciągną się kilometrami, a ci, którzy nie wytrzymują drogi, zostają porzuceni bez wody.

Ding-Dong! – i nagle odgłos dzwonów z kościelnych wież wyrывa mnie z zadumy. W powietrzu słychać cichy szloch i drżący głos wypowiedanej modlitwy.

Co się dzieje? Kto płacze? – pytam.

Jest 1 sierpnia 1838 roku. Właśnie weszła w życie ustawa o zniesieniu niewolnictwa w koloniach Imperium Brytyjskiego – z głębi jaźni odzywa się Vehettge, kobieta z ludu Khoikhoi. – Wolność odzyskało osiemset

tysięcy czarnoskórych ludzi w czterdziestu regionach świata. Na Jamajce tłumy zgromadziły się w kościołach.

I wtem jesteśmy już w Kingston, stolicy, dokąd przybyli wyzwolenicy w uroczystych, masowych marszach, niosąc transparenty i krzyże. Łzy szczęścia wartkim strumieniem spływają po twarzach ludzi, gdy z głębi ich wnętrza wyrywa się pieśń wolności. Potężna i radosna jak spełnienie duszy:

Free at last, thank God Almighty, we are free at last!

[W końcu wolni, dzięki Bogu Wszechmogącemu, jesteśmy w końcu wolni!]

A teraz patrzymy, jak kopią w ziemi doły: na dziedzińcach kaplic oraz wiejskich placach, gdzie wcześniej modlili się o wolność. Wrzucają do środka baty, łańcuchy i kajdany, czyli symbole zniewolenia. Robią to w ciszy; niektórzy z głową pochyloną, inni z kamienną twarzą.

Już nikt nie odbierze im wolności – wzdycha Vehettge.

No nie wiem... – odpowiadam z zadumą, widząc późniejszy bojkot białych plantatorów na wyspach karaibskich. Obserwuję, jak blokują byłym niewolnikom dostęp do wody, dróg oraz młynów, zawyżają ceny dzierżawy ziemi, utrudniają handel czy odmawiają zatrudnienia. Ci zaś, nie posiadając możliwości zarobienia pieniędzy, trafiają do więzienia za włóczęgostwo.

Natomiast w Kolonii Przylądkowej Burowie – potomkowie holenderskich, niemieckich i francuskich osadników – oburzeni łamaniem *tradycyjnego porządku*, czyli podziału rasowego i religijnego, ruszają w głąb Afryki Południowej, gdzie zakładają niezależne republiki, w których czarnoskórzy mieszkańcy pozbawieni są wszelkich praw.

I w taki sposób niemal we wszystkich koloniach brytyjskich owe nowe, wyzwolenicze prawo nie zniosło rasowej hierarchii ani żadnych zależności.

Wolność bez ochrony, bez równości i bez dostępu do zasobów to iluzja – mówię. – Jest niczym iskra zapalona, lecz pozbawiona powietrza.

Nie masz racji – Vehettge odpycha stanowczym tonem. – Iskra wzniecona raz potrafi tlić się długo, czekając na swój moment. Aż wreszcie zapłonie jasnym, ogromnym światłem.

Tik-Tak! – i nagle czas przenosi nas do Genadendal. Jest 24 grudnia 1792 roku. Mija dokładnie pięćdziesiąt lat od chwili, kiedy to Georg Schmidt – morawski misjonarz – opuścił to miejsce. Człowiek, który samotnie prowadził działalność ewangelizacyjną na afrykańskiej ziemi. Chrzczył tubylców, uczył ich wiary i języka. Mieszkał w jednej chacie i uprawiał ogród, zmagając się z przeciwnościami – zwłaszcza ze strony Kościoła Reformowanego, który ostatecznie zmusił go do odejścia, skazując to miejsce na zapomnienie. Rozglądam się dookoła. Chata Schmidta zniknęła pod dziką roślinnością, a ogród zarósł wysokimi trawami, cierniami i pokrzywami.

Po co mnie tu przyprowadziłaś? – pytam.

Zajrzyj pod gruszę – odpowiada Vehettge.

Przenikam więc przestrzeń... I oto, pod rozłożystym drzewem, widzę starszą kobietę z Biblią w ręku. Przy niej grupka dzieci. Siedzą, słuchają, rozmawiają, zanurzeni są w słowie. Wielbią Boga, przesyłając sobie nawzajem nadzieję i miłość.

Kim jest ta kobieta? – dociekam i uważnie przyglądam się jej twarzy. Dostrzegam zmarszczki, ciemną skórę oraz spokojne oczy. Głowę ma okrytą prostą chustą.

To ja – odpowiada cicho Vehettge. – Magdalena. Przez pięćdziesiąt lat

podtrzymywałam wiarę: w sobie i w tych ludziach. Natchniona Duchem Świętym i prowadzona przez Boga, nie poddałam się. Ocaliłam wiarę i to miejsce. Z Biblii misjonarza Schmidta czerpałam wiedzę, którą głosiłam. Słowa prawdy. O tym, że miłość zwycięża, a Bóg nas nigdy nie opuszcza. I spojrz: pomimo przeciwności losu, pomimo tylu lat, doczekałam się. Wystarczyła iskra wiary.

Spoglądałam za drzewa. W oddali widzę trzech morawskich misjonarzy, którzy zmierzają w jej stronę z polecenia Starszych Kościoła Jednoty Braterskiej. Przybywają, aby na nowo rozbudować misję. A przed moimi oczami wyrastają nagle białe chaty: proste, równe, kryte strzechą. Przy nich powstają: szkoła, dom modlitwy, warsztaty, tłocznia oliwy oraz drukarnia. W dolinie znów słyszeć śpiewy i naukę, dzieci uczą się czytać, a dorośli odnajdują sens. Misja rośnie w oczach, tętni życiem – aż staje się pełnoprawną osadą zwaną *Genadendal* – Doliną Łaski. W połowie XIX wieku przybywa do niej pastor Theobald von Hallbeck. Zakłada pierwsze w Afryce Południowej seminarium nauczycielskie. Z pokorą i oddaniem przyjmuje pod dach setki wyzwolonych niewolników, aby dać im strawę, naukę Chrystusa oraz godność człowieka.

Nie poddawaj się – cichy głos wybrzmiewa nagle z wnętrza jaźni. – *I znajdź słowa skradzione ludziom* – mówi do mnie. – *Zdejmij z nich kajdany. Nie bój się! Ja będę z wami.*

Przemiana

Afryka woła mnie przez sen. Głosem jaźni, który wydobywa się wnętrza mojego istnienia, a któremu nie sposób się oprzeć. Ponieważ jest prawdziwy, hipnotyzujący i zachłanny; jakby nie kusił, lecz żądał. Więc idę: na czarny ląd, w połowę XIX wieku. Do miejsca, gdzie

ludzkie życie wymieniane jest na broń, alkohol, lustra i koraliki. Gdzie królowie i wodzowie plemienni nie chronią swoich braci, a sprzedają ich europejskim kupcom w faktoriach handlowych lub na targach niewolników. Dziesiątkami, setkami, lecz wciąż im mało: błyskotek, sławy i władzy. Więc tworzą zbrojne oddziały, które napadają na pobliskie plemiona, by pozyskać nowe żywe towary, a potem je sprzedać za dziesięć procent rynkowej ceny na innych kontynentach.

Ten proceder nie ma końca. Nikt nie powstrzyma ludzkiej żądzy, która obrosła w mechanizmy władzy – mówię. – Wszyscy zniewalają, jakby nie mieli innego wyjścia. To pułapka, sieć!

Ależ nie, jest wyjście... – jakiś głos dochodzi z głębi jaźni. Cichy, niewyraźny, ledwie słyszalny.

Próbując go odnaleźć, delikatnie przenikam przestrzeń i już jestem w Sierra Leone. Na dziedzińcu kościoła. Nie wiem jakiego. Widzę czarnoskórego duchownego. Zamyślony i skupiony, siedzi gdzieś i jest głęboko zanurzony w sobie. Dotyka ziemi, zespalaając się z jaźnią.

Kim jesteś? – dociekam. – I co tutaj robisz?

Nazywam się Samuel Ajayi Crowther. Miałem dwanaście lat, gdy handlarze niewolników napadli na nasz dom – zaczyna opowiadać. – Razem z matką, bratem i siostrą zostaliśmy uwięzieni, zakuci w łańcuchy i sprzedani portugalskim kupcom. Przetrzymywano nas w twierdzy nad Zatoką Gwinejską, a następnie załadowano na statek, by sprzedać plantatorom. Ale brytyjski okręt wojenny zatrzymał tamtą jednostkę. Uratowano nas i przywieziono do Sierra Leone. Widać, że Bóg miał wobec mnie inne plany – wzdycha. – Przygarnęła mnie misja chrześcijańska, a potem odnalazłem się jako duchowny. Teraz przeczuwam, że mogę zostać mianowany biskupem misyjnym dla Zachodniej Afryki. Byłbym więc pierwszym Afrykaninem na takim stanowisku. Zastanawiam się, czy

przyjąć to posłannictwo.

Dlaczego się wahasz? – pytam.

Jest to trudna misja. Wśród białego duchowieństwa panują rasistowskie przekonania. Wielu widzi mnie jeszcze w kajdanach, a nie na piedestale władzy kościelnej.

Z pewnością nie będzie łatwo – przyznaję. – Ale przecież jesteś silnym, mądrym, wykształconym człowiekiem. Znasz Afrykańczyków i wiesz, jak do nich dotrzeć. Właśnie tłumaczysz Biblię na języki afrykańskie: joruba, igbo, nupe... Traktujesz jej słowa jako narzędzie wyzwolenia duchowego i kulturowego.

Tak, przemiana duchowa jest jedyną drogą do wyzwolenia Afryki, ludzi, jak i do zlikwidowania niewolnictwa.

Przemiana duchowa... – powtarzam za nim słowa, odpływając w przestrzeń. Crowther wciąż siedzi, lecz przed moimi oczami jaźń nakreśla już jego życie. Widzę, jak przyjmuje biskupią konsekrację, po czym próbuje szerzyć wiarę i budować struktury Kościoła. Ale nie może, gdyż jego autorytet jest podważany, a słowa lekceważone.

Czarni nie są zdolni do odpowiedzialnego zarządzania, pada w raporcie Church Missionary Society. Powołana zostaje komisja śledcza, która odbiera mu prawo kierowania misją. Crowther czuje się rozczarowany i zdradzony przez tych, którzy wcześniej go wspierali. Ale dostrzegam też jego wkład w walkę z niewolnictwem i znaczenie jego pracy jako głosu duchowej przemiany. Oraz, w końcu, jego rehabilitację po śmierci.

A czego pragniesz naprawdę? – dopytuję, dotykając jego serca i duszy.

Przemiany duchowej, z której narodzi się nowe życie. Tej, która wyzwoli człowieka, czyniąc go wolnym przez Boga własnym panem.

Więc przyjmij to posłannictwo i zostań przykładem – dodaję, unosząc się ponad ląd.

Ding–Dong! – odgłos kościelnych dzwonów wita nowego biskupa, a ja ponownie patrzę na czarne realia tamtego świata. Z góry widzę wzgórza otaczające Freetown, poniżej zaś dym unoszący się nad chatami. To nie kadzidło, lecz ogień. Wodzowie rdzennych plemion organizują teraz kolejne zbrojne wyprawy. Napadają na przedmieścia, porywają ludzi, którzy dopiero co wrócili z niewoli albo zostali uratowani przez flotę brytyjską.

Ci, osiedleni w pierwszym wolnym mieście, mają nadzieję, że właśnie rozpoczyna się nowy, lepszy rozdział ich życia. Ale nie... Znowu są łapani przez własnych braci i zaciągani do portów na sprzedaż.

Czego potrzeba tym ludziom, żeby przestali się zabijać i zaczęli normalnie żyć? – zastanawiam się. – Czy dojdzie kiedyś do takiej duchowej przemiany? Może byłoby łatwiej, gdyby sami doświadczyli niewoli, a dopiero później zbudowali nowy kraj. Bez bólu i bez ran, a z ogromnym pragnieniem wolności i miłości do drugiego człowieka.

Idź do Liberii – głos jaźni wprowadza mnie nagle do zachodniej części Afryki. Do kraju położonego nad Atlantykiem, pośród palm i gęstych tropików, który znajduje się tuż obok Sierra Leone. – *To państwo, które powstało z miłości do wolności oraz z wiary w braterstwo* – oznajmia.

I oto widzę, jak w 1847 roku sprowadzani są potomkowie niewolników z Ameryki, którzy otrzymali szansę zbudowania własnego kraju. Chrześcijańskiego, cywilizowanego państwa w Afryce, wzorowanego na Stanach Zjednoczonych: z konstytucją, dwupartyjnym systemem oraz kapitalistyczną gospodarką. Będą mogli żyć wolno, w poszanowaniu prawa i godności drugiego człowieka.

Dość tych mrzonek! – mocny ton przerywa moje rozmyślanie. – *Liberia nie sprostała tym oczekiwaniom. Nowo przybyli stworzyli własną klasę rządzącą: zamkniętą i uprzywilejowaną. Rdzennych mieszkańców*

zaś zamienili w poddanych: bez praw, bez głosu, bez dostępu do edukacji i urzędów, powielając niewolnicze schematy w nowym kostiumie władzy.

Kim jesteś? – pytam, spoglądając na postać stojącą w cieniu drzewa; jej twarz jest skupiona i pełna napięcia. To mężczyzna w średnim wieku, o bystrym spojrzeniu i wyrazie żalu na twarzy. Ubrany elegancko, jednak skromnie. Wyprostowany, z rękami splecionymi za plecami.

Hilary Teague – odpowiada. – Przybyłem tutaj wraz z innymi, aby budować ten kraj. Z synami i córkami niewolników. Jestem architektem niepodległości Liberii i głównym autorem jej Deklaracji. Lecz teraz już wiem, że nie mieliśmy racji, tworząc takie założenia. Wolności nie można zbudować ot tak.

Więc jak należy ją budować? – przerywam mu w pół słowa.

Na prawdziwej moralności i wierze. Bycie wolnym oznacza zdolność do życia w zgodzie z bożym prawem, do podejmowania odpowiedzialnych decyzji, do odrzucenia przemocy i ignorancji. Przemiana zaczyna się od wiary oraz od sumienia. Zresztą zobacz sama, co się tutaj dzieje. Mnie już brakuje słów.

Ponad Ego

Jestem jaźnią przenikającą wszechświat. Wieczną obecnością, z której wszystko powstaje i do której wszystko wraca. Słucham, obserwuję i otwieram się na ludzi po to, by poznali prawdę o sobie. Odkryli sens życia i miłość, która drzemie w nich od zawsze: w każdej kropli krwi, w każdym oddechu i słowie. Jak spełnienie. Lecz niewielu do mnie dociera, mimo że obecna jestem wszędzie: w powietrzu, w wodzie i w ziemi.

Skoro człowiek nie potrafi do ciebie dotrzeć, to dlaczego sama nie wyjdiesz mu naprzeciw? – głos Hilary’ego Teague’a promieniuje goryczą.

– *Spójrz na nas. Jesteśmy dziećmi niewolników z Ameryki. Nasi ojcowie byli upadłani, odczłowieczani, bici i tresowani niczym dzikie zwierzęta. My zaś, tworząc Liberię, mieliśmy pamiętać o tym, aby już nikt nigdy nie doznał takich krzywd. A co zrobiliśmy? Co zrobiłaś TY? TY, Jażń? Po prostu byłaś i patrzyłaś w milczeniu!*

I oto dym prawdy opala ziemię. Widzę rdzenne plemiona zachodniej Afryki: Kpelle, Bassa, Vai, Gola. Przed ich chatami stoją czarnoskórzy ludzie w europejskich mundurach i eleganckich surdutach. Odbierają rodzicom dzieci do misyjnych szkół z internatem. Na zawsze; pozbawiając ich rdzennych imion, języka, tożsamości.

Spójrz. Postępują jak bezwzględni kolonizatorzy, którzy za nic mieli ludzkie życie – ciągnie Teague, pokazując mi teraz chłopców zaciągniętych do przymusowej pracy na plantacjach kauczuku. Mają zaledwie dziesięć, może jedenaście lat. Wychudzeni, wyczerpani, zakrwawieni. Nie mają praw do przerw, nie dostają posiłków ani odpowiedniego ubrania, a za niewyrobienie normy grozi im bicie, a nawet więzienie. – *Przecież wiedziałaś, co tu się dzieje! Wiedziałaś?! –* dodaje, a następnie wskazuje wybrzeże Atlantyku i zacumowane łodzie, które wysyłają ludzi w niewolę. Kadłuby skrzypią, liny są napięte, na pokład wpychani są zakuci w kajdany mężczyźni, kobiety i dzieci. – *Cóż z ciebie za jażń?! –* lamentuje, a jego głos przeszywa powietrze gniewem i bólem. – *Taki wolny świat stworzyłaś?! Takich ludzi?!*

Ludzkie ego stworzyło własną, iluzoryczną przestrzeń w granicach ciała i zmysłów. Ona pozwala im przetrwać, jednak myli wartości – jakiś głos wydobywa się z głębin jażni. – *Zamiast miłości i prawdy wynosi na piedestały sukces, władzę i żądze. Chwilowe spełnienie przynosi cierpienie wielu. Ale są i tacy, którzy potrafią żyć inaczej, w prawdzie.*

Kłamiesz! – Teague wybucha z goryczą. Jeszcze mówi, lecz jego słowa

zamieniają się w szum wiatru.

Plum! – i nagle dźwięk opadających łez przenosi nas w inne miejsce wybrzeża – prawie dwa tysiące kilometrów dalej. Do Lagos, nad Zatokę Gwinejską. Słysząc odgłosy ludzi, którzy żwawo przesuwają się po porcie.

Nie widzisz całości – oznajmia głos. – Targa tobą ludzkie ego. Sam wpadłeś w sidła rozpacz, nie widząc tego, co dobre w ludziach. Więc popatrz na nich!

I oto jest rok 1851. Obserwujemy, jak Brytyjczycy usuwają z tronu Kosoko, afrykańskiego władcę Lagos, bowiem ten wspiera handel niewolnikami. Do miasta przybywają wyzwoleni niewolnicy z Sierra Leone, Freetown, a także z Jamajki. Są wykształceni, znają język angielski i portugalski. Widzimy, jak tworzą nieformalną sieć pomocy dla nadciągających uciekinierów z głębi kraju – ludzi prostych, niepiśmiennych, zagubionych – i zapewniają im schronienie. Zakładają wspólne szkoły dla dzieci wyzwolonych oraz rdzennych mieszkańców i uczą zawodów – krawiectwa, kowalstwa czy drukarstwa – a także rozwijają lokalny handel. Tworzą własne stowarzyszenia i gazety.

Widzisz, im się udało, choć mieli tę samą ludzką naturę!

Ale jakim cudem?! – Teague pyta zdumiony. – Bez struktur państwowych? Rządu, kościoła, wojska, deklaracji niepodległości...?

Wystarczyły im słowa miłości – odpowiada głos. – I wiara w Boga, który był dla nich obecny i żywy, stając się źródłem siły i wolności, a nie religijnym symbolem. Wierzyli, że prawdziwa przemiana zaczyna się w sercu.

Kim jesteś? – Teague pyta z niedowierzaniem. – I skąd w ogóle mam wiedzieć, że nie kłamiesz? Może to jakaś iluzoryczna sztuczka ego?! Przecież widzę ludzi, dzieci różnych wyznań: katolików, protestantów,

metodystów, baptystów, anglikanów czy presbiterian. A obok nich są ci, którzy wciąż czczą Orisza, składają ofiary Shango, Ogunowi i Yemoja, pytają Ifá o los, wierzą w moc Egungun, szukają mądrości przodków, duchów natury, świętych lasów i rzek. Chcesz powiedzieć, że oni wszyscy po prostu gromadzili się w jakimś jednym miejscu, składając cześć jednemu Bogu? Kłamiesz.

Bóg był obecny w ich codziennym życiu: w pracy, w rodzinie, w modlitwie przy ognisku. Rozmawiali z nim w domach, pod drzewami, w warsztatach oraz w szkołach. Wszędzie. Wierzyli, że każda dobra praca, każda pomoc bliźniemu jest aktem wiary.

I nagle pod naszymi stopami układają się rytuały byłych niewolników z Lagos. Poranek. Jakaś kobieta w lnianej chuście cicho wymyka się z domu. Niesie ze sobą dzban oraz cały ciężar wczorajszego bólu. Klęka przy studni, zanurza dłonie w chłodnej wodzie, przemyna twarz. Drży. Szeptem wypowiadając imiona bliskich, splata słowa w modlitwę, której nauczyła ją matka.

Tu już inna scena. Pokój wypełnia ciepłe światło oliwnej lampy. Wokół stołu zbierają się sąsiedzi, dzieci wtulone są w matki, starcy z zamkniętymi oczami – wszyscy kołyszą się w rytm pieśni. Najstarsza kobieta zaczyna: „Bóg jest ucieczką i mocą” – głosem chropowatym, przeżytym. Potem są pieśni – takie same jak te przy ogniu w innej części miasta. Patrzymy, siedzi matka, dziecko wtulone w jej kolana. Z cichym śpiewem opowiada mu o wielkiej podróży przez ocean, o wyzwoleniu z kajdanów oraz o budowaniu nowego domu w nieznanej ziemi. To nie jest zwykła kołysanka – to pieśń pamięci, pieśń przetrwania.

Kim jesteś? – Teague pyta się jaźni.

Nazywam się Dandeson Crowther, jestem synem Samuela Ajayi Crowthera, pierwszego czarnoskórego biskupa Kościoła Anglikańskiego

w Afryce. Razem z innymi niewolnikami budowałem wspólnotę w Lagos, ale nie jako ktoś uprzywilejowany, lecz w duchu przemiany, jaką zaszczerpił we mnie mój ojciec. I nie chodziło mi o władzę, wpływy, ani też o to, kto ma rację. Chodziło o serce, które potrafi kochać mimo ran; o wiarę, która podnosi mimo upadków; i o miłość, która obejmuje każdego z nas. A takich inicjatyw dobrego serca w Afryce było więcej, nie byliśmy jedyni.

Nie ludź się, ojcie. To nie mogło trwać wiecznie – odzywa się inny głos z głębi jaźni. – W latach 80. XIX wieku Brytyjczycy coraz bardziej przejmowali kontrolę i ograniczali samodzielność miejscowych społeczności, a kościół nie chciał konkurencji. Bał się utraty władzy i autorytetu, dlatego też zlikwidowano te inicjatywy i wspólnoty. Nie podważam siły duchowej przemiany, którą zaszczerpił w nas twój ojciec, a mój dziadek. Ale prawda jest taka, że ego zawsze znajdzie sposób, aby tę prawdę zagłuszyć i zbudować granice między nami. Teague ma rację w tym, co mówi. Czasami jaźń mogłaby nami pokierować, skierować ludzkość we właściwą stronę... Więc mam pytanie do niej: dlaczego tego nie robi?

Absolut

Istnieję gdzieś pomiędzy niebem a ziemią, jakbym śniła na jawie. Niby żyję w każdym zdarzeniu, istnieniu i myśli, a jednak poza zasięgiem ludzkich zmysłów. Ja, jaźń: niedostępna, nieokiełznana i sama. Choć w wielu odsłonach niczym fale oceanu – pozornie oddzielone, lecz splecione jedną wodą. Albo jak hologram składający się z wielu warstw, w którym każda odsłania inną głębię tej samej rzeczywistości.

Tik-Tak – czas wybija godziny, gdy zanurzam się w prozie ziemskiego życia. Właśnie widzę ludzkie postaci, słyszę ich słowa, rozumiem

znaczenie. Niemniej nie wiem, czy oni sami pojmują sens tego, o czym rozmawiają.

Znajduję się wewnątrz przestronnej, oświetlonej sali. Zauważam ciężkie, drewniane stoły; wokół nich czterdziestu mężczyzn w eleganckich, czarnych frakach, a niektórzy są w wojskowych mundurach. Na palcach lśnią sygnety, na piersiach – ordery. Ich twarze są skupione, zimne, przenikliwe.

Co to za miejsce? Kim są ci ludzie? – próbuję rozpoznać.

Jesteśmy w Berlinie; to grudzień 1884 roku – głos Mandeli wydobywa się z jaźni. – Trwa konferencja zwołana przez Bismarcka, pruskiego kanclerza. Uczestniczą w niej przedstawiciele czternastu państw, głównie z Europy, ale przybyli też delegaci ze Stanów Zjednoczonych i z Imperium Osmańskiego. Będą dzielić Afrykę.

Jak to: dzielić? Przecież Afryka to ogromny kontynent, na którym od tysięcy lat żyją ludzie. Są tam państwa, granice...

Ciii – ucisza mnie Mandela, kiedy w sali wybrzmiewa mocny głos Bismarcka:

Nie zebraliśmy się dziś tutaj, aby zdobywać ziemię, lecz aby ustanowić zasady, które pozwolą podzielić Afrykę pokojowo, zgodnie z prawem i porządkiem. Ustalamy, że kto zajmie jakieś terytorium – ten je posiada; zaś kto pierwszy postawi flagę, temu przypadnie ziemia i będzie panował na niej.

I oto przenikam jaźń głębiej. Ziemia wrze, gdy rozpoczyna się the scramble for Africa, czyli wyścig o Afrykę. Widzę europejskie mocarstwa, które rozbudowują armię, zaciągają tysiące nowych żołnierzy, kupują nowoczesne działa, karabiny maszynowe i amunicję. Na wybrzeżach Atlantyku i Oceanu Indyjskiego wyrastają forty oraz bazy wojskowe, natomiast w głębi Czarnego Łądu powstają nowe garnizony, linie

kolejowe i telegraficzne oraz drogi, by zapewnić szybkie przejście ziem. Oglądam, jak mocarstwa zawierają sojusze i porozumienia, by konkurencja nie zdążyła wbić flagi na najbardziej strategicznych terenach.

Nie ma tutaj człowieka, współczucia i miłości – głos Mandeli wybrzmiewa smutkiem i żalem. – Jedynie ludzkie ego i żądza. W przeciągu kilku kolejnych lat mocarstwa zmieniają Afrykę nie do poznania, dzieląc ziemię między sobą. Zginą miliony ludzi, spalone zostaną całe wioski i rozpocznie się mordercza eksploatacja złóż: kauczuku, złota, diamentów, kości słoniowej, jak również handel niewolnikami.

Bum! – i wtem kolejne ludobójstwo. Jest rok 1904. Rdzenne ludy Herero i Nama, które próbują się bronić przed niemiecką inwazją, zostają otoczone na pustyni Omaheke. Generał Lothar von Trotha wydaje rozkaz eksterminacji:

Odciąć ich od wody oraz zabić każdego, kto będzie próbował uciec – mówi.

Wymordują prawie sto tysięcy ludzi – z bólem szepcze Mandela, po czym jak gdyby nigdy nic zabiera mnie nagle w głąb jaźni.

Po co? Dlaczego? Gdzie mnie prowadzisz? – pytam zaskoczona.

Musisz się pospieszyć – tłumaczy, odchodząc do innego wymiaru. – Potrzebuję cię teraz. Znajdź własną drogę, a potem, gdy będziesz gotowa, odzyskaj mnie w przestrzeni czasu.

Patrzę, jak znika za warstwami jaźni, niknie za przesłonami światła i cienia, aż staje się zaledwie wibracją: subtelnym echem, które wypływa z serca istnienia. Wraz z muzyką spokoju i miłości: ledwie uchwytną melodią, która przenika każdą komórkę wszechświata, przypominając o pierwotnym porządku. Zanurzam się w kojącym dźwięku nut.

Gdzie biegniesz?! – krzyczę za nim.

W Absolut! – woła z oddali. – Nie wchodź tu, bądź sobą i ruszaj własną drogą.

Lecz co to? Nagle przestrzeń się zmienia, zaczyna falować i pulsować energią. Zastygam w miejscu. Nieruchoma wpatruję się w kręgi oplatające niebo oraz ziemię: jasne, ciemne i kolorowe. Zauważam tysiące barw, które suną przez czas niczym strumienie.

Skąd płyną i dokąd? – pytam sama siebie i mam wrażenie, że niosą dawne historie, archetypy, lęki i pragnienia: obrazy matki, ojca, bohatera, ofiary... Ale też strachu, żądzy, bólu czy siły. Zarażają ludzkie umysły, przechodzą z pokolenia na pokolenie, powtarzając się w każdej kulturze i epoce niczym niewidzialna nić, która splata nas wszystkich. Ding-Dong! – Co się dzieje? – dziwię się. Odgłos dzwonu dochodzi z oddali; w moją stronę podąża orszak żałobny. Dostrzegam czarne wiry energii, które emanują strachem i rozpaczą. Wokół nich, jak rzeka, rozlewa się ból sięgający mojego serca. – Auć... Chyba umieram, bo nie wiem, kim jestem: człowiekiem we śnie czy bezwolnym bytem unoszącym się w przestrzeni nieba.

Tik-Tak, Tik-Tak – płynie czas. Chyba jednak żyję, ale jakaś inna. Czuję, że zmieniłam się nie do poznania, jakbym straciła siebie sprzed lat.

Czy to jeszcze ja? – pytam, doświadczając siebie.

I nie wiem... Żal i tęsknota za wczoraj unoszą się w powietrzu, lecz pod nimi rodzi się nowa rola. Jeszcze cicha, a jednak powoli wychyla się zza parawanu ról, masek, konwenansów, przyzwyczajęń. Z niedowierzaniem patrzę, kim jest i co stanie się dalej. I już wiem! To wolność bycia, myśli i słowa. Wolność, by chłonąć nowe miejsca, doświadczenia i siebie! Czuję, jak rozchylają się przede mną przestrzenie, których kiedyś nie widziałam, jak pękają ściany starych ograniczeń. Choć jeszcze nie wiem,

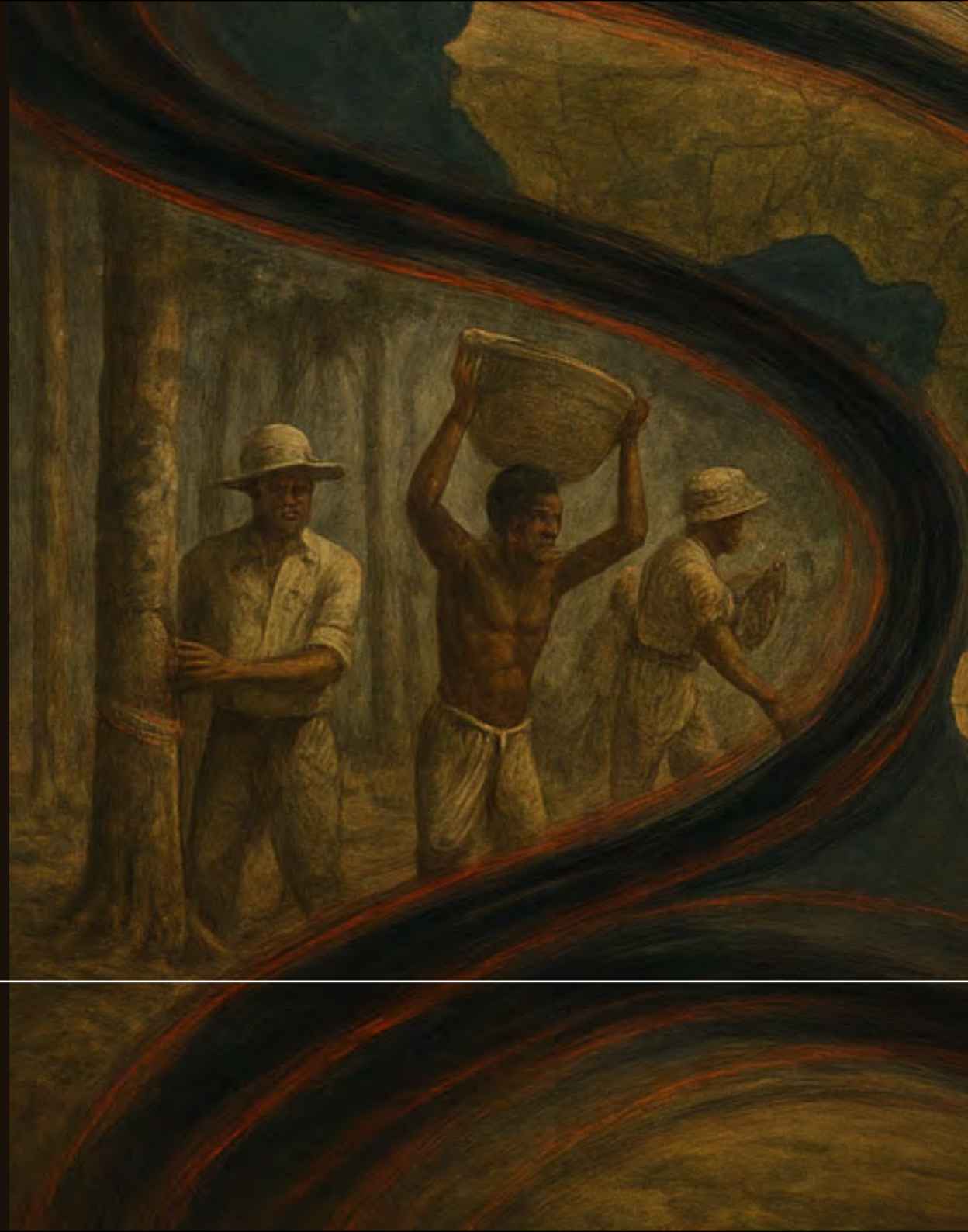
dokąd mnie to zaprowadzi, sięgam po jasne, świetliste wstęgi, niosące nadzieję i wiarę. Nabieram ducha i wstaję, gdy nagle jaźń wybrzmiewa dookoła:

Znajdź słowa skradzione ludziom. Zdejmij z nich kajdany. Niech będą wolni.

Ale jak? – dopytuję oszołomiona. – Powiedz wprost, czego ode mnie chcesz!

Przecież już wiesz: tam, gdzie śmierć, jest też nowe życie. Więc idź.







Rozdział Trzeci

Droga Przebudzenia

Droga

Zawieszona w przestrzeni czasu, poszukuję własnej drogi. Wypatruję znaków, które wskażą kierunek. Punktów zaczepienia. Nie jest to łatwe, bowiem z każdej strony płyną strumienie energii niosące emocje. Niczym kolorowe wstęgi przenikają niebo i mnie, poruszając całym moim jestestwem. Teraz otula mnie spokój; jak las oddycha on w moim *ja*. Słyszę szelest liści, śpiew ptaków, obserwuję ich godowy taniec. Ale już chłód dotyka mojej głębi, dziwna melancholia, westchnienie ziemi! Tak, to smak błękitnych odcieni przelatujących nad wodą.

Ależ to dziwne uczucie... – wzdycham.

Wydaje mi się, że te emocje wybudzają ze snu jakieś cząstki mnie: niespełnione pragnienia czy ukrytą moc.

Chyba dość tego czekania! – ponagla mnie jaźń. – *Idź, już czas.*

Tik-Tak – zegar przesuwą godziny, mijają dni i lata, a ja wpadam w koniec XIX wieku. W dole afrykańska ziemia, niebo zaś tonie w czerwieni i czerni. Dostrzegam tysiące strumieni nadciągających z przeszłości, które emanują strachem i bólem.

Skąd przybywają? – zastanawiam się, a one coraz szczelniej wypełniają przestrzeń. Są zwinne i sprężyste niczym węże, głodne życia. A raczej śmierci, bo to właśnie ona jest ich pokarmem.

Teraz obserwuję, jak wkraczają do Konga – ogromnego państwa w środku kontynentu. Mocnym ramieniem oplatają wszystkie szczeble hierarchii: belgijskiego gubernatora, kolonialną armię i spółki pozyskujące kauczuk.

Szuuuu... – wiatr wieje cierpieniem, strachem, karami. Kraj zamienia się w kaźnię, w wielki obóz zagłady. Widzę dzieci i mężczyzn, którym obcięto ręce za niskie zbiory, zaś ich ciała naznaczono chłostą. Dalej

pacyfikowane są wioski, palone, ludność zabierana jest do niewoli. Wszędzie panują terror i strach panują.

Zginie lub zostanie okaleczonych dziesięć milionów afrykańczyków – informuje mnie jakiś znajomy głos.

Kto mówi? – pytam.

Plum! – zamiast odpowiedzi krople krwi spadają na wodę.

Dokąd płyniesz? – dopytuję strumieni złączonych teraz w rzekę rozpacz. – *Po co ci tyle ofiar?*

Jestem jaka jestem i nic ci do tego – syczy nienawiścią. – *Wyrośłam z instynktów, aby zbierać żniwo ludzkiego ego. Mrocznych wizji i niespełnionych żądz, więc nigdy nie mam dość. A ty lepiej odejdz, bo porwę cię z nurtem, zginiesz – rzuca, kierując się w stronę Etiopii, gdzie wnika we włoskie kolumny wojskowe idące po nową ziemię. – To armia Mussoliniego – dodaje z satysfakcją. – Faszystowskie zapędy. Spójrz! Idą, by odnowić imperium rzymskie! Mają ze sobą broń i gazy bojowe. Zniszczą wszystko, co tylko pojawi się na ich drodze: wioski, pola, ludzi.*

Ding-Dong! – i chyba ma rację, bo właśnie wybrzmiewa dzwon zwycięstwa. Jest rok 1936, wojska Mussoliniego zdobywają Addis Abebę i ogłaszają utworzenie Włoskiej Afryki Wschodniej. Tymczasem ja mam dziwne przeczucie, że powinnam zrobić jej na przekór. Zamiast uciekać, wskoczyć w nurt czarnego strumienia. Podążać jego śladem. Dowiedzieć się, dokąd płynie i skąd dokładnie przybywa. Tylko w ten sposób dotrę do źródła strachu i zatrzymam falę.

Nie bądź naiwna, uciekaj – szepcze głos. – *Rzeka zabierze cię z nurtem. Staniesz się nią.*

Ależ skąd! – przerywam mu w pół słowa, po czym wpadam w rwący wir. – *Już nikt nie będzie mi mówił, jak mam żyć* – dodaję.

Plum. I oto słyszę plusk rzeki, głośny pomruk fal. Strach wypełnia

przestrzeń, lecz jest tutaj również tęsknota za innym życiem. Ponieważ nie widzę nic oprócz krwi i rozpacz. Tymczasem woda tworzy kaskady, odgałęzienia, wodospady... Kreślą mroczną historię świata. Dostrzegam faszyzm: swastyki na murach, przemarsze brunatnych koszul, Auschwitz oraz Europę w płomieniach. Brakuje mi tchu, gdy komunizm wdziera się w powietrze i wodę. Przede mną dziesiątki milionów zabitych w Związku Radzieckim, Chinach i Kambodży.

Śmierć jednostki to tragedia, śmierć milionów to statystyka, – wybrzmiewają słowa Stalina. Nikt mu się nie sprzeciwia.

I co? Chcesz więcej wrażeń? – woda szepcze z ironią, odsłaniając wojskowe dyktatury.

Nie bądź taka butna! – wołam cierpko, lecz oto junta w Chile już wyslizguje się spod wody. Widzę płonący pałac Moneda i obserwuję, jak generał Pinochet w ciemnych okularach przejmuje władzę, rzucając cierpkimi słowami: *Porządek albo śmierć!*. Tłum bije mu brawa, a przed nimi otwiera się brama więzień.

Teraz w Argentynie znikają ludzie. Jeszcze matki trzymają zdjęcia *zaginionych*, a już wdziera się religijny fanatyzm. Ludzie idą z karabinami na tle czarnych flag, zamachy bombowe w świątyniach, uciekający na pustyniach... *Plum*. Kolejne krople krwi spływają do rzeki, a narkotykowe imperia wypływają z dna – Medellín w rękach Escobara, kartele w Meksyku, dzieciak z pistoletem stoi na granicy.

Hej! Zaraz zginiesz pod kołami pociągu śmierci! Uciekaj! – krzyczę, próbując ocalić jakiegoś młokosa. Ale La Bestia gna już przez góry, ludzie na dachu, żar czerwonych iskier na szynach. Giną kolejne istnienia. Lecz nie on. Usłyszał, ocalał.

Zniewolenie ma wiele twarzy, a wciąż powstają nowe – znajomy głos mówi do mnie z oddali. – *I tak nie poznasz wszystkich jego odcieni, lepiej*

wracaj.

Kto tam?! – wołam, jednak nikt nie odpowiada.

Tymczasem rzeka odsłania kolejne oblicza zła i zniewolenia. Zauważam, że handel ludźmi nadal trwa, choć czarne niewolnictwo formalnie zostało zakazane. Kobiety porywane są z ulic i zmuszane do prostytucji, inne zamykane w domach, bez żadnych praw! *Tik-Tak!* – czas wrzuca mnie w inne odgałęzienie. Tam pojawia się bieda.

W świecie bogactwa dziewięć milionów ludzi umiera każdego roku z głodu. Wstydzmy się! – z mównicy wybrzmiewa głos Davida Beasleya, dyrektora wykonawczego Światowego Programu Żywnościowego [WFP].

Spójrz! Już XXI wiek, bierz nogi za pas – znowu głos dochodzi znienacka. – Króluje internet, sieci, algorytmy.

Tak – potwierdzam i spoglądam, jak strach wyrasta na polach dezinformacji, w cyfrowej nienawiści.

Plum. Woda rozlewa się niczym morze, przenikając dokładnie wszystko: ludzkie organizmy, każdą myśl i każde słowo. Wszyscy się boją. Nie ma nikogo, kto potrafiłby oprzeć się jej sile.

Kto mówi?! – szukam głosu. – Dlaczego mnie powstrzymujesz? To moje życie, co ci do niego?!

Jestem twoim ego. Uciekaj, inaczej zginiesz – wolno padają słowa. – Źle się działo od zawsze, ty nie jesteś temu winna. Uciekaj póki możesz...

Odejdź! – przerywam mu z tupetem. – Jestem teraz silna! Mam misję do spełnienia. Zobacz, ludzkość jest zniewolona, szukam skradzionych słów.

Więc wróć do źródeł, lecz nie ciemną rzeką strachu, tylko jasną, taką pełną nadziei. Spojrzysz na świat z innej, lepszej perspektywy, nabierzesz siły.

Może masz rację, ego – odpowiadam. – Zatem ruszajmy w powrotną drogę do źródeł.

Przebudzenie

Niewidzialna przemycam przez mroczną historię Ziemi. Oglądam, jak ludzie byli zniewalani: od zarania dziejów po współczesność. Tego chce ode mnie jaźń, która przemawia do mnie w półśnie głosem prawdy. Domaga się, bym zdjęła ludziom kajdany i odnalazła skradzione słowa. Woła, dotykając głębi mojego wnętrza. Przyznam, że czasami czuję się dziwnie, jakbym była nią – czyli obecnością złożoną z niezliczonych istnień, z których każde przeżywa swoje życie i własną prawdę. A wszystkie one zmierzają do jednej, najwyższej prawdy, która w istocie jest wolnością bez granic czasu i przestrzeni. To poczucie jedności i spójności jest niezwykle i poruszające. Lecz nie jest jedynym, co wyznacza mi drogę. Jakaś inna część mnie widzi wszystko inaczej, wskazuje inny kierunek. Kontroluje i sabotuje moje ruchy. Nie rozumiem dlaczego.

Ludzkie ego jest po to, aby chronić cię przed niebezpieczeństwem – jakiś głos przerywa moje rozmyślanie. – Żyjesz w świecie zmysłów i ciała, dlatego ono protestuje, próbując przekonać cię do swoich racji.

Nie rozumiem. Przecież oboje prowadzą mnie teraz tą samą rzeką strachu do źródeł prawdy. Chcesz powiedzieć, że ego mnie zwodzi? Kłamie?

I tak, i nie. Widzisz, ego inaczej rozumie drogę. Namawia cię, żebyś szła przez życie w sposób wygodny: płynąc znaną, bezpieczną rzeką. Dlatego każe ci zmieniać nurty, podpinąć się pod zewnętrzne wpływy. Aby nie cierpieć, aby się nie narażać. Niemniej to zgubna droga – idąc za jego wskazówkami, możesz nigdy nie dotrzeć do źródeł prawdy, a jedynie zejść na manowce.

A którądy prowadzi jaźń?

Przez to, co w tobie stałe, prawdziwe, niezmiennie: przez miłość, wybaczenie, obecność. Nie chce, abyś szukała potwierdzenia na zewnątrz, lecz w sobie.

Stuk–Stuk! – i nagle odgłos kroków przenosi nas w przestrzeń miasta. Wokół są szerokie ulice, piętrowe budynki z czerwonej cegły, sklepy z witrynami, a na nich osobne wejścia dla białych i czarnych osób. Zauważam również osobne toalety i miejsca w autobusach. Segregacja rasowa obecna jest na każdym kroku.

Stuk–Stuk! – i oto jesteśmy na głównej alei, przed nami niezwykle marsz: kilkadziesiąt czarnoskórych osób idzie w milczeniu, ustawieni dwójkami. Nie krzyczą, nie śpiewają; niosą transparenty z hasłami *Freedom Now* i *End Segregation*.

Który to rok? Cóż to za miejsce? – próbuję rozpoznać.

Jesteśmy w Birmingham. To Alabama, Stany Zjednoczone. Jest 12 kwietnia 1963 roku – odpowiada głos. – Obserwujesz właśnie pokojowy marsz przeciwko segregacji rasowej. Spójrz na mężczyznę w pierwszym rzędzie, w ciemnym garniturze, z lekko pochyloną głową. Ma skupioną twarz. To ja, Martin Luther King. Teraz rozejrzyj się dookoła. Na chodnikach stoją gapie, mieszkańcy Birmingham, a także policja z pałkami i psami. Zaraz mnie aresztują i osadzą w więzieniu. Wiem o tym. Mógłbym wycofać się jeszcze, mam czas. Ale nie zrobię tego.

Dlaczego? – z uwagą przyglądam się mężczyźnie, do którego właśnie podchodzi policja.

Bo to jest słuszne. Choć moje ego boi się i naciska, abym zrezygnował, mimo że chce mnie chronić i szuka wymówek, wiem, że prawdziwe wyzwolenie przychodzi tylko wtedy, kiedy działam mimo lęku i stoję w obronie tego, co słuszne. I nie jestem sam – dodaje, przenosząc nas do

wnętrza monumentalnego budynku.

Przenikamy szerokie i eleganckie korytarze z marmurowymi podłogami oraz drewnianymi detalami. Wchodzimy do jakiejś przestronnej sali. Na ścianach dostrzegam kolorowe murale, w tym dzieła Henrika Sørensen'a czy Alfa Rolfsena.

Co to za miejsce? – pytam, ale wtem rozpoznaję, że to Ratusz w Oslo: gmach, w którym wręczane są Pokojowe Nagrody Nobla. Światło wpada przez wysokie okna, łagodnie rozlewając się po marmurowej podłodze, a ja mam wrażenie, że czuję tchnienie życia. W milczeniu ścian, ciszy i zadumie, która otula te mury, przypomina się tych, którzy w imię pokoju przewyciężają własny strach. Którzy walczą miłością, szacunkiem oraz zrozumieniem.

Nie wiadomo, czy przyjdzie – jakiś głos przerywa ciszę. – *Ma poważne problemy. Lecz czekajmy cierpliwie...*

Na kogo czekacie? Kto tutaj jest? – rozglądam się po sali, z której po kolei wyłaniają się ludzkie postaci; każda z nich przedstawia się układnie:

Albert Luthuli – mówi mężczyzna o szlachetnej twarzy; ubrany jest w prostą, tradycyjną afrykańską tunikę. – *Walczę z niewolnictwem rasowym i apartheidem* – tłumaczy. – *Jestem głęboko przekonany o sile miłości, sprawiedliwości oraz pokojowego rozwiązywania problemów. Stosowanie przemocy nie jest drogą do osiągnięcia trwałego pokoju.*

Prawda! – wtóruje mu drobny mężczyzna w białej dhoti. – *Nienawiść nie ustaje przez nienawiść, nienawiść ustaje przez miłość. To odwieczne prawo* – dodaje spokojnym głosem. W mig rozpoznaję w nim Mahatmę Gandhiego, ojca indyjskiej niepodległości.

Tuż za nim z przestrzeni wyłaniają się: Desmond Tutu, ciemnoskóry afrykański arcybiskup piętnujący apartheid jako system zniewolenia; idzie też Carlos Saavedra Lamas, Argentyńczyk działający na rzecz

zakończenia wojen w Ameryce Południowej; za nim wychodzi z jaźni jeszcze kilkadziesiąt innych postaci.

Wszyscy siadają na widowni i czekają w milczeniu.

Na kogo czekacie? – pytam.

Na Nelsona Mandelę – odpowiada Martin Luther King. – *Teraz jest rok 1993, ma otrzymać Pokojową Nagrodę Nobla – razem z Frederickiem Willem de Klerkiem – za ich wspólne wysiłki na rzecz pokojowego zakończenia apartheidu i ustanowienia demokracji w Południowej Afryce. Lecz nie przychodzi. Nikt nie wie, gdzie teraz jest ani co się z nim dzieje.*

Plusk. I nagle krople łez spadają na bruk. Jedna, druga, trzecia... Z każdym uderzeniem ból przepełnia salę. Pod nogami płyną strumienie cierpienia. Nikt nic nie mówi; każdy w ciszy ogląda obrazy zniewolenia, które właśnie wkraczają w ludzki świat. Widzimy toksyny w powietrzu i glebie, a także biedę, która podąża za nimi krok w krok niczym mrok przysyłający życie. Czujemy przemoc w realnym świecie, jak również internetową, która uderza w człowieka. Następnie używki, narkotyki i chipy – a wraz z nimi odzieranie człowieka z człowieczeństwa. I oto zauważam, że wszyscy zamarli w jednej pozie, jakby czas zatrzymał się w miejscu – zawieszeni w oczekiwaniu, w bezsilności i bólu. *Plum. Plum.*

Poszukaj skradzionych słów – jaźń wynurza się z głębi i szepcze do mnie. – A potem mów... I zrzuć ludziom kajdany.

Nie dasz rady, odpuść – ego pojawia się z drugiej strony. – *Zastygniesz jak oni. Lepiej wskocz w rzekę spełnienia!*

Nie ma takiej rzeki, ego. Bez prawdy są tylko iluzje.

Wiara

Cisza wypełnia przestrzeń Wielkiej Sali. Kilkaset cieni, które przybyły do Oslo na ceremonię wręczenia Pokojowej Nagrody Nobla dla Nelsona Mandeli, zastygło nagle w jednej pozie. Porażeni są nadchodzącą wizją zniewolenia świata, dlatego nie potrafią wydobyć z siebie żadnego słowa ani oddechu. Widzę blade twarze noblistów, w pół otwarte usta i przymglone oczy. A w nich – bezsilność i głuchą zadumę. Powoli przenikam przestrzeń, próbując znaleźć jakąś iskrę wolności; tchnienie życia, które jeszcze przed chwilą dodawało wszystkim siły i mocy. Napełniało wiarą, że razem można pokonać zło miłością i zbudować świat zgody. Ale niestety słyszę tylko ciszę.

Dlaczego nikt nic nie mówi?! – krzyczę do nich, lecz mój głos odbija się echem pomiędzy ścianami. Postacie na muralu Henrika Sørenseni wykrzywiają twarze z dezaprobatą.

Na nim kobieta miłosierdzia cofa rękę z jabłkiem, jakby nie była pewna, czy dziecko powinno je otrzymać. Muza z harfą ściska instrument z taką siłą, że jego struny zdają się cichnąć. Zaś robotnicy z dolnego panelu – ci, którzy porzucili tradycyjne stroje, by budować miasto – patrzą na mnie z niepokojem.

Nie stój, a uciekaj w dawne życie! – panikuje ego; przestraszone wzywa mnie do powrotu. – Możesz spokojnie zapłatać dni i godziny, spędzać czas wśród rodziny i przyjaciół, nie zadając żadnych pytań...

Znikaj, ego! – ostrym cięciem przerywam mu w pół słowa. – Nie mogę. To nie moja droga. Jestem już inna, nie odnajdę się w tamtym świecie...

Szuuu... Wtem wiatr wpada do sali znienacka. Trzaska, jęczy i huczy, zamazując kontury ludzi i ścian. Już nie ma nic: tylko ja i cisza.

Nie rezygnuj, walcz – jaźń mówi do mnie półgłosem. – Idź w świat

i przyprowadź Nelsona Mandelę.

Jak? Nawet nie wiem, gdzie go szukać! – wołam zrozpaczona. – Nie ma nic. Nikogo. Pustka wokół, rozumiesz? Właśnie zniknęły wszystkie ideały, rozpadł się cały świat! I ja zaraz też się rozpadnę! Na kawałki. W proch. Nie ma o co walczyć. Nelson Mandela nie przybył i nikt nie wie, gdzie jest. Ja też nie wiem!

*Tik-Tak. Oto czas przenosi mnie do Johannesburga. Jest kwiecień 1992. Znajduję się w małej sali konferencyjnej. Widzę Mandelę, który stoi przed rzędem kamer i dziennikarzy; otoczony surowym światłem lamp mówi smutnym, jednak stanowczym głosem: *Pragnę powiedzieć, że oddzielam się od swojej żony. Ta decyzja nie została podjęta pochopnie i była dla mnie głęboko bolesna.**

Następnie z jego ust padają słowa o cierpieniu, które nosi w sobie niczym otwartą ranę. O tęsknocie za wspólnym czasem, który już nie wróci. Wyraża szacunek dla Winnie, kobiety, która dzieliła z nim walkę, lecz przyznaje, że ich drogi rozeszły się na zawsze. Ogłasza więc separację, dziękuje wszystkim i wychodzi.

Stój! – krzyczę za nim. – Porozmawiajmy. Musisz jechać do Oslo, w ratuszu na ciebie czekają!

Ale on nie słyszy, przecież ceremonia odbędzie się dopiero za rok. Jeszcze za wcześnie na ten krok w przyszłość. Za to ja widzę etapy jego życia, które wybrzmiewają w przestrzeni czasu.

Ding-Dong. Ding-Dong. Jest rok 1957. Młodsza o osiemnaście lat Winnie fascynuje go do głębi: swoją inteligencją, determinacją i poczuciem sprawiedliwości. Przekonaniem, że wszyscy ludzie są równi bez względu na kolor skóry. Dlatego razem walczą z apartheidem. Pobierają się, a wkrótce rodzą im się dwie córki. Ding-Dong. I oto Nelson trafia do więzienia, zostaje skazany na dożywocie.

Bądź silna – mówi do niej. – Trwaj dla dzieci, dla ludzi, dla idei. Nie wolno ci się załamać. Nasza walka nie może umrzeć.

Więc Winnie nie umiera, za to zmienia się nie do poznania. Angażuje się coraz bardziej: organizuje protesty, przemawia, staje się ikoną oporu. Władze apartheidu widzą w niej realne zagrożenie. Jest upokarzana, torturowana, więziona w izolatkach, miesiącami pozbawiana kontaktu z dziećmi. Ból zamienia w gniew, a gniew – w przemoc. Jest bezwzględna. Otacza się młodymi bojownikami, którzy podpalają ludzi żywcem, zakładając im wcześniej opony na szyję.

Mamy tylko zapalki i naszyjniki! – tłumaczy światu, wywołując tym samym oburzenie w kraju i za granicą.

Niedługo potem dochodzi do porwania i śmierci Stompiego Seipeia, czternastoletniego chłopca. Jej nazwisko po raz kolejny pojawia się w raporcie. *Ding-Dong*. Dzwon przynosi mnie ponownie do roku 1992. Nelson wraca z konferencji w zamyśleniu. Widzę, że cierpi. I cierpiał wtedy, w celi. Odcięty od świata, rodziny, izolowany, upokorzony. Karmiony wizjami Winnie sprzed lat; iluzjami o tym, jaka jest i jaka była.

Cierpiała jak nikt inny, a może bardziej. Jednak to nie usprawiedliwia wszystkiego, co działo się w jej imieniu – mówi prasie, wychodząc z więzienia. – W więzieniu modlitwa była dla mnie jedyną siłą. Bez niej nie przetrwałbym – tłumaczy tylko i znika we mgle.

Plum. Plum. Łzy bezsilności spływają na bruk, a ja próbuję zagłuszyć ich dźwięk własnym głosem. Wybudzić Nelsona, przebić się przez grubą zasłonę mrocznych myśli.

Stój! – wołam go ponownie. – *Nie możesz teraz pogrzążyć się w rozpacz. Zostawić świata i nas bez szans....*

Leć przez czas do więzienia – podpowiada mi jaźń. – Tam znajdziesz go samotnego. Otwartego na rozmowę.

Śniąc, dotykam prawdy o sobie – niezagojonych ran, które wciąż domagają się uleczenia, oraz niespełnionych pragnień, zepchniętych do cienia życia jako te nieważne. We śnie zespalam się z jaźnią, najwyższą prawdą, tchnieniem życia. To ona odkrywa sens, pokazuje prawdziwą mnie i wskazuje drogę, którą mam podążać. Właśnie teraz wysłała mnie w przeszłość – na czarny, afrykański ląd. Dokąd dokładnie?

Prawdopodobnie do więzienia, w którym Nelson Mandela odsiaduje wyrok. Być może to z jego pomocą mam odnaleźć słowa skradzione ludziom. Zdjąć z nich kajdany, aby mogli być wolni. Choć przyznam szczerze, że do końca nie wiem, jakie plany ma wobec mnie jaźń.

Wsiadaj – słyszę. Rzeka strachu migocze grozą. – Nie możesz tak stać, bo wkrótce pochłonie cię ego. Spójrz, jak skrzętnie buduje świat pozorów i złudzeń. Wkrada się w myśli i słowa, przedstawia znaczenia i zaciera wartości. W imię wolności tworzy sidła zniewolenia, w które wpycha każdego.

Tak, wiem. Ale boję się wskoczyć w twój nurt – wykrztuszam.

Puk! Puk! – ego już do mnie zagląda.

Czego chcesz? Powiedziałam, że poradzę sobie sama! – odpowiadam zirytowana.

Przestań tak mówić. Nie masz pojęcia, jak wygląda zło. Chcesz płynąć rzeką strachu? Dotknąć okrutnych prawd o człowieku? Zobaczyć śmierć, ból, poczuć swoją zgubę? – ego oplata mnie z każdej strony. – Ja ci mówię: zmień drogę. Jeśli nie obudzisz się w porę, zostaniesz w tym strachu na zawsze. Po co ci to?

Odejść, ego! – rozkazuję, wskakując w nurt rzeki.

Plum. Czarne myśli krążą nad światem, a ja jestem w latach 80.

XX wieku. Widzę planetę rozdartą między dwoma biegunami: USA i ZSRR. Nikt nie wie, co będzie dalej. Wyścig zbrojeń nuklearnych trwa, imperium zła rozrasta się do niebotycznych rozmiarów, a strach wiedzie prym. Tymczasem, w cieniu wielkiej polityki, w afrykańskich wioskach i na ulicach amerykańskich miast rodzi się AIDS. Najpierw niezauważalne: obejmuje tych, którzy żyją na marginesie społeczeństwa. Kolejno wirus rozpęda się i mutuje, by w końcu niczym szarańcza wpaść na inne kontynenty. Dostrzegam przerażenie w oczach ludzi. I strach, który każe im odrzucić najwyższą ludzką wartość: współczucie.

Zabierzcie ich stąd! To nie ludzie, a zaraza! – głos ludzkiego ego przenosi mnie do roku 1987 – i oto Pensacola, USA. Przed ośrodkiem opieki dla dzieci z wirusem HIV gromadzi się tłum. Kamienie lecą w stronę drzwi. Płoną opony.

Zabierzcie ich stąd!

Szuuu... Wiatr z impetem uderza w taflę wody, przenosząc mnie ponownie nad Afrykę. Podo mną gorąca Etiopia, gdzie głód zbiera żniwo. Ciała tysięcy dzieci leżą na spękanej ziemi. Oczy mają otwarte – jakby czekały, aż ktoś wreszcie przyjdzie. Lecz nikt nie przychodzi. Umierają po cichu, w kurzu, w zapomnieniu. Spoglądam dalej – na Ugandę, Liberię, Sierra Leone, Mozambik, Angolę – i widzę krew. A także ludzi, którzy mordują siebie nawzajem – w dżungli, na ulicach, między plemionami i w rodzinach. A dzieci? Zamiast się bawić, z karabinami idą zabijać.

Na rzeź! – krzyczy ego, wybrzmiewając strachem.

Nie chcę – oznajmiam. I nagle, zamiast płynąć w stronę Przylądka Południowego, zmieniam kierunek. – *W górę* – szepczę. – *W górę... Byle uciec jak najdalej!*

Tik-Tak. Płyną godziny i lata. Mija czas. Ludzkie ego zostaje w dole,

gdy ja niczym Ikar wpływam w przestrzeń innego życia, które pulsuje spokojem. Już się nie boję. Mogę czuć. *Plusk*. Ostatnia kropla strachu opada na Ziemię.

Czy żyję? Gdzie jestem? I kim? – pytam siebie.

Być może zdumieniem... Bo oto wszystko tańczy wokół mnie: światło, energia i tchnienie życia. Z nich powstają złote nici, żar słońca i ja, która jestem. Ależ to cudowne. Tkam światy. Jeden za drugim – setki, tysiące – jakby spod moich palców przesuwano się krosno istnienia, a wzory układały się same. Już widzę te ziemskie: z atomów, z ciała i krwi – góry, wiatr, niebo, zwierzęta i ludzi. A także te z ducha: przestrzenie utkane z oddechu, w których byty–cienie układają się w rytm pulsującego życia.

Kim jesteś? – zagaduję jedną z postaci.

Nie wiem – odpowiada z zamyśleniem. – Po prostu żyję. Tyle mi wystarcza, by niebem wypełnić wnętrze. Życie to cud i wolność istnienia.

Racja... – przyznaję. – Tylko nie każdy to docenia. A czym jest dla ciebie wolność?

Słowem, myślą, uczuciem – odpiera, znikając w głębinach jaźni.

Stój! – wołam za nią. – Powiedz, którym słowem konkretnie jest dla ciebie wolność? Wskaż jakieś przykłady. Muszę je rozpoznać, a potem odnaleźć, aby zdjąć z ludzi kajdany.

Sami będą wiedzieć, rozpoznają – odzywa się mocny jak grom głos, który nagle wypełnia przestrzeń. – Skąd się tu wzięłaś?

Mandela? Szukałam cię.

Nie mnie, lecz człowieka. Nie zwlekaj dłużej. Przestań uciekać i wracaj na Ziemię. Wolność i prawdziwe wyzwolenie zaczynają się od środka, od pojednania z własnym cieniem. Dlatego brakujących słów nie znajdziesz na zewnątrz, a po drugiej stronie ja – u źródeł. Tam, gdzie rodzi się strach. Idź już. Jażn cię poprowadzi.

Tik-Tak. Znowu czas przesuwają godziny i lata. A ja śnię, lecąc w kierunku mgły, która otula Ziemię białą warstwą puchu. Jeszcze nie czuję w niej bólu ego – jak również dobra i zła – mimo że ślady cywilizacji migoczą już w dole. Blask miast rozświetla przestrzeń. I nagle szok, zdziwienie! Bo nie widzę tam ludzi, których znam, tylko innych. Znacznie starszych, sprzed milionów lat. W dole dostrzegam potężne, nowoczesne, wyrafinowane cywilizacje... Niczym piękne diamenty trwają w otchłani życia przez setki tysięcy lat, a potem upadają jak zamki z piasku.

Jak to możliwe? Dlaczego? – pytam, spoglądając na wiry energii, światła i dźwięku, które znikają w przestrzeni czasu. Dlaczego nic z tego nie zostało?

Ależ nie! Ego zostało – znajomy głos przerywa moje rozmyślenia. – *Aby chronić, ustalać granice i prowadzić.*

Przestań! Znowu mnie mamiś – i oto kolejna odsłona:

Ziemia jest jeszcze biała, zlodowaciała. Skuta lodem, pokryta pyłem wulkanów. Krajobraz jest martwy, a jednak coś zaczyna pulsować pod powierzchnią. W mikroskopijnej przestrzeni widzę ruch. Pojawiają się ryby, płazy, cienie jaszczurów. *Tik-Tak.* Czas mija i już są pierwsi ludzie. *Homo sapiens.* Idą w małych grupach. Wychodzą z Afryki w świat. A przy nich wyrasta ego: odwaga i strach, pragnienie i lęk.

Pospiesz się! – jaźń wydobywa się z głębi mojego istnienia. – *Nie ma już czasu do stracenia!*







Rozdział Czwarty

Jedność i Prawda Jaźni

Duch

Gdzieś pomiędzy snem a jawą zatrzymał mnie świat – ten sprzed trzystu tysięcy lat. Dookoła mgła, gęsta i biała, nasycona chłodem poranka, a także pierwsze promienie słońca, które oplatają ziemię ciepłem. Jestem w Afryce. Jest tu sucho, gleba jest jałowa, a w oddali znajduje się rozległa niecka. Dostrzegam kępy dzikiej trawy i płytkie mokradła z sitowiem oraz powykręcane drzewa, które pamiętają zamierzchłe czasy.

To Sahara – rozpoznaję.

Podążaj śladem pierwszych ludzi, do źródeł strachu – szepcze jaźń, wskazując mi drogę. Więc idę.

W dole krzewy i suche paprocie, błoto. Powietrze drży niepokojem, jakby ostrzegało przed niebezpieczeństwem. Uważnie spoglądam na żaby, które czają się nieopodal, w cieniu sitowia... Plusk. Głośny odgłos wody przerywa ciszę. Widzę wyłaniającą się zza traw ludzką postać: masywną, nagą sylwetkę, która wzbudza we mnie strach i podziw jednocześnie: dzikością twarzy i mądrością oczu, czujnością ruchów i zmysłem przenikającym przestrzeń.

To praczłowiek... – wzdycham z niedowierzaniem. – Jeden z tych, których pamięć noszę w sobie, w genach. Ile pokoleń przetrwała, sprawiając, że teraz jestem taka, jaka jestem?

Dwanaście, a może piętnaście tysięcy... – jakiś głos wchodzi mi w pól słowa. – Strach i odwaga ukształtowały człowieka. Jak również wiara, odwieczne antidotum na zło.

Wiara w kogo? W co? – dociekam.

W moc jaźni, która prowadzi i wzmacnia ludzi podczas ich drogi. Od zawsze, w każdej chwili zwątpienia, strachu czy niepewności.

Kim jesteś? – pytam.

Głosem pierwszego Homo sapiens. Właśnie obserwujesz moją ludzką postać, pierwsze połączenie z tchnieniem życia. Z duchem ziemi. Poczuj to. Bądź nim, skoro chcesz wiedzieć, jak to było u zarania...

Ssss – a wtem czterometrowy pyton wynurza się spod kamieni i sunie w kierunku człowieka. Widzę go oczami jaźni. Mknie zwinnie i płynnie: jak rzeka bądź wiatr, który nie ma nic do stracenia. Tylko błysk brązowych łusek migocze w świetle, gdy sprawnie prześlizguje się pomiędzy trawami. – Ssss – przystaje z głową uniesioną w górę, patrzy mi w oczy i syczy. Zamieram w bezruchu. Nie oddycham. Jeśli ruszę ręką, nogą, głową – zginę. Gad rzuci się na mnie. Będę bez szans. Wiem o tym, dlatego tylko stoję, dławiąc się strachem. Boję się jak nigdy dotąd.

I nagle – myśl. Olśnienie. Że Ziemia jest moim bratem, ocaleniem. Wyczuwam ją pod stopami: ciepłą, czujną, żywą. Patrząc w oczy wężowi, napelniam się jej siłą. I już się nie boję. Po prostu ufam Matce Ziemi. Z nią rosnę. Mężnieję. Z nią ocaleję, gdyż razem jesteśmy tchnieniem tego samego życia... Wąż wyczuwa tę subtelną zmianę w mojej postawie. Delikatnie, powoli usuwa się w cień. Ssss – w oddali słyszę jeszcze szmer pełzającego tułowia, po czym gad znika w mokradłach. I oto wygrałam z własnym strachem – bo zrozumiałam i uwierzyłam, że duch Ziemi jest we mnie. Z ulgą i wdzięcznością padam na kolana, kłaniając się trawie i drzewom.

Cóż z tego, że wszyscy są przeciw, skoro duch Ziemi jest ze mną! – wypowiadałam znamienne słowa. – I przecież nie tylko on. Bo wszystko – to, co żyje, co drga i przemija – ma w sobie ducha.

Czuję promienie słońca padające na moją skórę i wiem, że to nie tylko ciepło, ale obecność, która mnie wspiera. A także pełna szeptów i pamięci woda w mokradłach koi mnie i niesie we właściwą stronę. Więc

pójdę jej śladem. Wtem wiatr owiewa mi kark w drodze, niczym dotyk niewidzialnego towarzysza, zaś głęboko pod stopami czuję kamienie i korzenie, które pulsują pradawnym istnieniem. Pamiętają więcej niż ja. Zatem czego mam się bać, skoro po nich stąпам?

Wszystko jest życiem. Wszystko z ducha powstało – głos Homo sapiens wydobywa się z głębi jaźni. – Rośliny, zwierzęta i człowiek: każdy nosi w sobie to samo tchnienie życia.

Więc twierdzisz, że nie ma się czego bać? Że życie i śmierć są w nas?
– pytam z niedowierzaniem.

Tak. I trwają jednocześnie: w naszym ludzkim wymiarze, jak również tym mistycznym, duchowym. W którym umieramy, a także rodzimy się nowi, w kolejnej odśłonie.

Być może... – odpowiadam, nie kończąc zdania, gdyż właśnie w tej chwili gęsta mgła wypełnia przestrzeń. Szara i wilgotna jak burzowa chmura. Ciężkim westchnieniem przenika ludzi: ich myśli, słowa i czyny. Niczym malarz pokrywa świat nową warstwą, narzucając własne znaczenia i wartości.

Znika wszystko! – wołam przerażona. – *Cała prawda o życiu, duch, wiara... Nic nie zostało z niego. Co to jest?*

Jak to: co? To ja, ego. Układam świat na nowo, aby ludzie wiedzieli, jak żyć.

Drrr – chropawy dźwięk rozdziera nagle ciszę. Otumaniony dymem halucynogennych ziół szaman unosi głowę. Wypowiada zakłęcie, a gęsty obłok tańczy wokół jego twarzy.

Jestem pośrednikiem między nowym a starym porządkiem – charczy. – Mam kontakt z duchami. Bójcie się!

Tik-Tak. Tik-Tak. Mijają lata, człowiek dojrzewa. W cieniu plemiennych obrzędów buduje swój świat. Zakłada rodzinę, poluje

i lepi naczynia z gliny. Z radością oplata szyję muszlami i maluje twarz, próbując zacieśnić więź z duchami. W rytualnych pochówkach szuka drogi do innych wymiarów. Wynosi bogów na piedestały, ofiarowując im dary.

Tylko po co ta cała maskarada? – pytam zirytowana. – Przecież bogowie nie potrzebują darów, by obdarzyć go duchem! Wystarczy wiara: silne połączenie więzi i tchnienie życia. Wtedy pojawi się moc.

Ależ skąd! – odpowiada człowiek. – Ego wprowadziło na Ziemi nowe zasady. To szaman, jako jedyny wtajemniczony i uprawniony członek plemienia, zna teraz wolę duchów. Dlatego wyznacza granice między życiem a śmiercią. Ustala też prawa, wedle których należy wielbić bogów i prosić ich o łaski. Nikt nie ma takiej władzy jak on. Ssss... Chyba że wąż, który zawsze skądś przypelźnie – dodaje.

Idź już – głos jaźni wypycha mnie w przyszłość. – Ludzie wyszli z Afryki i zasiedlają świat. Czas na Ziemi mija bardzo szybko. Pospiesz się!

Obłąd

Zanurzona we śnie obserwuję Ziemię. Kolejne odsłony życia przemykają wokół mnie jak klatki filmu. I tak mija sto tysięcy lat, w trakcie których *Homo sapiens* opanowuje kontynenty. Jedna migracja, druga, trzecia: oto kolejni ludzie opuszczają Afrykę. Sznury drobnych postaci, które niczym mrówki wyruszają na poszukiwanie nowych terenów do życia. Idą pieszo, powoli, z dziećmi na plecach i skórami zwierząt przewieszonymi przez ramię. Wytrwale i z mozołem pokonują góry, morza, żar pustyni i zlodowaciałe tereny, a także własny strach i zmęczenie. Widzę, że wielu ginie w drodze, ale pozostali prą naprzód, docierając na Bliski Wschód, do Azji, Europy, potem do

Australii i do obu Ameryk. Z powierzchni Ziemi znikają inne gatunki ludzi: Neandertalczycy, Denisowianie czy *Homo floresiensis*. A oni – niezwycczeni – przetrwali. *Homo sapiens*: królowie świata.

Wracaj do Afryki! – głos jaźni wybrzmiewa z głębin mnie. – *Jeszcze nie wiesz wszystkiego o strachu i mocy ducha.*

Jak to? Przecież widziałam, jak pierwszy Homo sapiens pokonał lęk, budując więź z Matką Ziemią – odpieram zdeorientowana. – Kolejno zobaczyłam, jak inni ludzie rosną w siłę i bratają się z duchami drzew, wody i słońca. Składają im w ofierze dary, bogów wynoszą na piedestały.

Przejrzyj przez ego i znajdź kajdany zniewolenia.

Tik-Tak. Zatem ponownie spoglądam na Czarny Kontynent. Podemną leży Sahara, która zmienia swoje oblicza. Przez trzysta tysięcy lat była sucha i jałowa, a nagle pokrywa się zielenią. Dostrzegam na niej jeziora i sawanny, mokradła, lasy, jak też zwierzęta: hipopotamy, słonie, żyrafy. Przyglądam się ludziom: koczownikom, myśliwym i zbieraczom, którzy tworzą naskalne malowidła, wierząc w duchowe połączenie z otaczającym ich światem.

Jest dobrze, ludzie czerpią od duchów wiarę i siłę – wzdycham.

Szuuu... Spójrz jeszcze raz! – wiatr mocnym podmuchem przenosi mnie wprost do Etiopii. Jest rok 360 naszej ery. Dym przenika powietrze, wyczuwam w nim ciężki zapach kadzideł; paloną mirrę i akację. Zauważam tłumy ludzi, kilkaset osób zanurzonych w modlitwie; są wychudzeni, mają rany na ramionach, piersiach, brzuchach oraz twarzach. Krew sączy się z nich strugami.

To ślady po rytualnych nacięciach – tłumaczy głos pierwszego *Homo sapiens*, który wybrzmiewa nagle z przestrzeni.

Ja zaś z przerażeniem obejmuję ludzi wzrokiem. Niektórzy klęczą, a inni ledwo stoją, trzymając misy z popiołem i zawiniątka z prochami

zmarłych. Kobiety ściskają dzieci przy piersi. Nieco dalej, w kręgu, stoi siedmiu kapłanów ubranych w ciemne szaty. Głowy mają posypane popiołem, a ich monotonne głosy przeszywają ciszę:

*Mahreme, najwyższy z bogów, czuwający nad życiem i śmiercią,
oddal chorobę z naszych domów.*

Beherze, przynieś nam deszcz, aby oczyścić ziemię.

*W ofierze przełagalnej składamy wam krew kozła, a popiół
zmarłych przodków niesiemy przed wasze oblicza – by nie
zapomnieli o żyjących.*

Modlitwa płynie w języku géez, a wezwania powtarzane są rytmicznie, coraz ciszej. W dymie, na podwyższeniu, dostrzegam króla Ezana: stoi boso w białej, nieskazitelnie czystej szacie, z rękami wzniesionymi ku niebu. Wtem lament przeszywa przestrzeń – przesiąknięty bólem, którego nie sposób wytrzymać. Powietrze drży cierpieniem i strachem.

Co się tutaj dzieje? O co ci ludzie się modlą? – dopytuję.

*Lata temu susza nawiedziła kraj, potem zaraza dopełniła żniwa.
Umierają w męczarniach, ciało im się rozpada, a krew wylewa im się
ustami, nosem, łzami... – tłumaczy pierwszy Homo sapiens.*

Więc po co jeszcze te rany?

*To część rytuałów: bez nich zło nie odejdzie, epidemia nie ustąpi,
bogowie zaś nie udzielą przebaczenia. Nie ma uzdrowienia bez tego.*

Kto tak powiedział?

*To ja, ego! – znajomy głos wybrzmiewa w przestrzeni. – Świat
potrzebuje porządku, który ukoi lęk; rytuałów, które nadadzą znaczenie
cierpieniu; i władzy duchowej, która mówi, kiedy ból ma sens.*

Ding–Dong. Dźwięk gongu rozchodzi się echem po piasku i kamieniu, przenosząc mnie w północno-wschodnią część kontynentu, wprost do nekropolii Meroe. Jest 130 rok naszej ery. Widzę kilkadziesiąt piramid – niektóre ledwie sześciometrowe, inne wysokie na dwadzieścia. Wyrastają z piasku jak ostre kliny z ciemnego kamienia

To grobowce władców Królestwa Kusz – tłumaczy Homo sapiens.

Setki ludzi zgromadziły się właśnie u ich stóp: wojownicy z ochrą na twarzach, kobiety ubrane w ozdoby z muszli i kości, starcy z popiołem na dłoniach, kapłani w skórach zwierząt i maskach ze złotych liści. Przyszli, by uczestniczyć w koronacji nowego króla, który – jak wierzą – stanie się pośrednikiem między światem żywych a bogami przodków. Jeśli duchy przyjmą jego ofiarę, otrzyma moc chronienia ludu przed suszą, chorobą i gniewem niebios. Złożono już dary: mleko, miód i piwo; wypalono kadzidła; namaszczone ściany kaplic ochronną pastą z popiołu i tłuszczu. W kręgu kobiety tańczą w transie, ich śpiew pulsuje w rytmie bębnów. Kapłani wznoszą ramiona ku niebu:

Przodkowie! Przemówcie do bogów! Błagamy! Bez waszych głosów król nie zostanie przyjęty, a lud nie przetrwa!

Więc jedni klęczą, drudzy śpiewają, a niektórzy płaczą: wierzą bowiem, że jeśli przodkowie się nie odezwą, zginą od suszy, choroby albo gniewu nieba. Wyczekują znaku z zaświatów: podmuchu wiatru, trzepotu skrzydeł ptaka, drżenia powietrza bądź szeptu, który tylko kapłani potrafią odczytać jako głos przodków. *Szuuu...* – i nagle wiatr rysuje sylwetki tysięcy bogów i milionów rytuałów. Ludzie modlą się do słońca lub do rzeki, do gór, kamieni, przodków czy zmyślonych tworów. Każdy z tych bogów ma swoich kapłanów – pośredników, którzy

mówią ich głosem: dobra i zła, życia i śmierci. Ustalają prawa, nakazy, rytuały. Decydują, kto wejdzie do nieba, a kto zostanie przeklęty. A co z ludźmi? Opętani ich słowami i strachem, szukają ukojenia dla duszy w obrzędach. Obmywają się w świętych jeziorach, wierząc, że woda zmyje chorobę, żal i winę. Składają ofiary ze zwierząt i ludzi – paląc całe wioski z mieszkańcami bądź grzebiąc żywcem królewskie dwory. Lęk rośnie z każdym pokoleniem, a wiara, która miała dawać siłę, staje się narzędziem manipulacji i kontroli w rękach ego.

Zastłoniłeś im drogę do jaźni! – krzyczę. – Wykorzystałeś ich głód i pragnienie wiary! A przecież z nią mogliby pokonać wszystko: góry, rzeki, lodowce i ogień. Jak również zło i lęk.

Nie mogłem inaczej – głos ego wybrzmiewa z przestrzeni. – Ziemski świat potrzebuje kontroli, władzy i praw; ram, które nadadzą mu formę, kształt i znaczenie. Przecież wiesz!

Przestań, ego, szerzyć strach. Życie to dar, zapomniałeś? Już czas, byś się opamiętał.

Wolni

Wiatr próbuje wybudzić mnie ze snu, gdyż obraca ziemią coraz szybciej. Sprzed moich oczu znikają już kontury miast, drzew i ludzi. Zacierają się też granice czasu. A teraz cała Afryka i życie na niej zlewają się w dwie potężne rzeki zniewolenia. I jeden przeszywający ból... *Plum*. Ludzkie łzy wypełniają koryta.

Skąd biegnie rzeka? I dokąd? – wodzę wzrokiem po jednej z nich.

I oto widzę świat sprzed tysięcy lat. Jeszcze nie ma pisma ani metalu, *Homo sapiens* tworzą pierwsze wspólnoty plemienne. Już pojawia się jasny podział ról: na lepszych ludzi i tych gorszych, niewolników.

Ci zaś łkają w ciszy, wrzuceni do czeluści cierpienia. Nie ma dla nich normalnego życia. Tik-Tak. Mijają wieki. Świat się rozwija, doskonali, gorsi ludzie stają się towarem: porywani, zmuszani do pracy, sprzedawani jak bydło i rzeczy na targach niewolników.

Plum. Czas zatrzymuje się w roku 1907. Jestem w Afryce Wschodniej, w niemieckiej kolonii Tanganice. Patrzę, jak niemieccy kolonizatorzy brutalnie zmuszają rdzenną ludność do pracy przy uprawie bawełny, budowie dróg i fortyfikacji. Zdesperowani ludzie próbują przetrwać ból. W wierze szukają słów ukojenia – lecz ich tam nie ma.

Dlaczego? Gdzie są te słowa? – pytam przerażona.

Ego je zabrało – głos *Homo sapiens* wyrывa mnie z zamyślenia.

Przed moimi oczami pojawia się Kinjikitile Ngwale. Obserwuję, jak ogłasza się prorokiem, wybranym duchów przodków.

Pijcie świętą wodę maji, zmieszaną z ziarnami i olejem rycynowym – woła do zgromadzonych, stojąc na wzniesieniu. – *Ona uczyni wasze ciała odpornymi na niemieckie kule!*

Tłum wierzy jego słowom. Ponad dwadzieścia grup etnicznych jednoczy się w buncie i obmywa się w wodzie. *Bum!* – i oto zaczyna się rzeź.

Mniej więcej trzysta tysięcy Afrykańczyków ginie od niemieckich kul, w masowych egzekucjach czy z głodu, bo w ogniu płoną ich wioski i pola.

Dosyc tego! – wołam. – *Znikaj, ego! Zabrałeś ludziom nadzieję, tchnienie życia i wolę. Zniszczyłeś w nich człowieczeństwo i ducha wiary, które czyniły ich lepszymi od innych stworzeń.*

Nie możesz mnie tak po prostu wyrzucić! – burzy się. – *Jestem ich całym światem. Beze mnie zginą. Rozumiesz? Bez imion, bez tożsamości i granic staną się bytem zlanym w przestrzeni życia.*

*Nie wiemy, kim będą... Ale to nieistotne w tej chwili! Mam cię dość.
Wynoś się, ego!*

I nagle grzmot przecina przestrzeń. Chmury pękają, deszcz oplata ziemię. Ogromna ulewa zmywa kurz i odsłania niebo: jasne, przejrzyste, tętniące życiem. Wtem wszystko pulsuje. Trawa pnie się ku górze, próbując dotknąć słońca. Drzewa rozchylają konary, jakby chciały objąć się wpeł. Liście natomiast drżą w radosnym uniesieniu.

Ego zniknęło! – wszyscy wołają wdzięcznie, a ja spoglądam na ptaki, które wyfruwają z gniazd. Ich śpiew przeszywa przestrzeń: czysty, rajski, jak gdyby istniał od zawsze. – *Ależ to dziwne! Chociaż świat wygląda tak samo, to jednak inaczej* – myślę.

I zauważam, że nie ma w nim wodzów, proroków, władzy. Wraz z ego zniknęła iluzja panowania, potrzeba cudów, obsesja bycia wybranym. Nikt nikogo nie wzywa do walki, nikt nie straszy. Jest tylko cisza – oraz najwspanialszy oddech życia. Właśnie tak postrzegam teraz świat bez chmur ego.

Wzrokiem sięgam do Genadendal – pierwszej misji, która przyciągnęła mnie we śnie rytmicznym biciem serca. Wśród bujnej zieleni dostrzegam kobiety, dzieci i starców odrzuconych przez świat. Widzę, jak tworzą przestrzeń, w której godność i miłość prowadzą wszystkich.

Czy to jakiś sen, czy jawa? – nie dowierzam. Pastor Hallbeck poprawia mankiety białej koszuli i zabiera się do pisania listu. – *Może do braci w Europie? By powiedzieć im, że tutaj, na końcu świata, człowieczeństwo jeszcze nie umarło* – myślę.

Gdy nagle Vehettge, ochrzczona kobieta z ludu Khoikhoi, zerka w moją stronę:

Leć do Mandeli – mówi cicho. – *Droga już jest wolna.*

Tak, zaraz... – przytakuję, próbując zrozumieć i zapamiętać ten czas.

Kątem oka spoglądam na plantacje trzciny i bawełny – i widzę, że wiara naprawdę daje ludziom siłę przetrwania. Następnie mój wzrok przesuwają się dalej, ku karawanom niewolników, ich ręce skute są łańcuchami. Dostrzegam zakrwawione plecy... A jednak oczy mają pełne ufności w jutro.

Czerpią siłę z jaźni, choć życie zgina ich w pól. Cóż to za nowy świat?
– szepczę z zadumą.

Już czas – głos jaźni przemawia z wewnątrz. – Nie możesz tak stać zbyt długo. Ego zaraz powróci.

Jeszcze chwilę, zdążę – mówię, krążąc wzrokiem po Afryce.

Obserwuję, jak rodzą się pierwsze braterskie wspólnoty. Wśród ludzi kielkuje świadomość, że nie muszą już być tylko poddanymi; że mają własny głos, który może wybrzmiewać wolnością. Spotykają się w szopach, kaplicach, pod drzewami. Tworzą chóry, zakładają szkoły i niezależne kościoły.

Bum! I oto odgłos bomb sprowadza ego. Wybuch II Wojna Światowa. Teraz widzę, jak Afrykańczycy walczą na frontach Europy i Azji, licząc na własną wolność. Ale nic z tego: wojna się kończy, a ego znowu zacieśnia pętle, wyciąga macki po więcej... Nad Czarnym Kontynentem zbierają się czarne chmury. Wybuchają plemienne wojny. Dostrzegam dzieci biegnące z karabinami.

Już wiem – pojawia się we mnie przeblysłk zrozumienia. – Ego istnieć będzie zawsze, bo jest częścią ludzkiego istnienia. Dlatego będzie powracać. Nie zniszczę go, nie zabiję, nie spalę... Ale mogę sprawić, aby szło razem ze mną.

Rozpuść się! – nakazuję, odważnie spoglądając mu w oczy. – Nie zasilę cię już strachem. Rozumiem, że musisz istnieć, lecz zmień swoje

oblicze. Z zimnych, mocnych kajdanów, które ściągają ludzi w dół, stań się ich niewidzialną bronią. Opoką. Niech idą z tobą ku lepszemu jutru. Czy tego chcesz?

I nagle czas wprowadza nas do początku lat pięćdziesiątych. Świat po wojnie jeszcze drży, a Afryka rozpoczyna swój marsz ku wolności. Kolonializm pęka. Ghana jako pierwsza wyrywa się spod brytyjskiego panowania. Kolejno Nigeria, Senegal, Kenia... Francja opuszcza Afrykę Zachodnią, Belgowie odchodzą z Konga. Jedna po drugiej, kolonie rozpadają się w pył. Rdzenni mieszkańcy odzyskują ziemię, języki, imiona. Powstają nowe państwa – wypełnione nadzieją, że wkrótce wszystko się zmieni. A ludzie? Przez chwilę naprawdę wierzą, że to możliwe. Tik-Tak. Mija czas i wtem ego powraca. Powoli, cicho, niczym cień za plecami. Przybiera nową formę, inną twarz.

Nazywam się apartheid – mówi do mnie, ponownie próbując zacieśnić pęta i założyć ludziom na szyję twarde obroże ze stali, jednak nie może.

Bo oni nie są już tacy sami. Pamiętają jaźń. I tę iskrę wolności, i niebo bez granic. A tego światła nie zgasi w nich nikt, za nic!

Idź do Mandeli! – Vehettge krzyczy z oddali. – Zdjęłaś ludziom kajdany. Teraz sami muszą chcieć żyć bez nich.

Ja

Jaźń wybudza mnie ze snu. Kojącym ciepłem i światłem wpływającym wprost z głębin życia. Nie chcę wracać, gdyż jest mi tu dobrze. Leniwie spoglądam w stronę Ziemi. Otulona białym puchem ego wygląda niczym śnieżna kula dryfująca po czasoprzestrzeni. Wiem, że muszę spojrzeć w jedno miejsce. Zatrzymać wzrok, by znaleźć się tam gdzie trzeba – w *tu i teraz*.

Otwórz oczy – szepcze jaźń. – Już czas na przebudzenie w prawdzie.

Ale czym ona jest? – pytam rozkojarzona.

Rozpoznawaniem mnie w tobie i usuwaniem ziemskich granic.

Nie rozumiem. Powiedz więcej, wytłumacz.

Szuuu... – i nagle wiatr uderza w ziemię – mocno, z impetem – zamieniając ją w ogromną rzekę. A raczej w dwa potężne strumienie splecione w życie. Płyną tuż obok siebie, jakby tańczyły jakiś magiczny taniec: raz bliżej, raz dalej – *stuk, stuk* – w jednym rytmie prą do przodu. A teraz, jak gdyby nigdy nic, rozdzielają się znowu na dwie nici. I tak cały czas...

To rzeka zniewolenia! – wołam. – Znam jedną odnogę. Wypełniona jest zbudowaną na potrzeby ego iluzją. Płyną w niej roztopione granice, zakazy i normy. Rozpuszczone kajdany kontroli i podporządkowania. Gdy znalazłam i oddałam ludziom słowa wiary skradzione przez ego, napelnili się oni duchem mocy i boskim światłem prawdy. To zaś roztopiło pozory tego świata, przez co zobaczyli, że można żyć inaczej: w prawdzie.

Plum. Teraz patrzę, jak kolejne krople iluzji wpadają do wody. I z każdym uderzeniem komuś otwierają się oczy – ci odchodzą wolni.

Jednak co z tą drugą rzeką? Dokąd płynie? Skąd przychodzi? – zastanawiam się.

Wyteżam wzrok. Strumień zdaje się nie mieć początku ani końca. Czasem płynie gładko i cicho, tworząc ruchome lustro na tafli wody, a chwilę później nie mogę już nadążyć za nim wzrokiem. Pieni się i wiruje, niosąc w sobie światło i cień. Dostrzegam w nim pamięć czegoś głębokiego, dawnego. Może to lęk? Skrywane pragnienia? Tłumione zdolności, które nigdy nie ujrzały światła dziennego? Nie wiem.

Ciekawe gdzie są źródła tej wody? – myślę, zbliżając twarz do rzeki. I wtem: *Plum!* Kropla wody dotyka mojego wnętrza. Ależ zabolalo.

Pamięć przywołuje miejsce z dzieciństwa. Stoję pod balkonem. Ktoś brutalnie rani małe psy. – *Przestańcie!* – krzyczę. I nagle płacz wydobywa się z mojego *ja*. Trzymany od lat w ukryciu.

Kropla za kroplą opada w dół. Następnie – *Plum!* – kolejny odgłos. Pojawia się strach. Zagradza mi drogę. Nie mogę przejść.

Dokąd idziesz, mała? – słyszę męski głos.

Jakiś dryblas pojawia się znikąd. Wokół jest ciemno. Ból zaciska gardło, nie mogę oddychać. Słyszę, jak kolejna kropla wpada do rzeki.

Wznies się wyżej – mówi jaźń. – *Patrz z odwagą, porzuć strach. To wystarczy, by wyzwolić prawdę i odzyskać ja.*

Podążam za jej wskazówkami. Powoli i delikatnie unoszę się wyżej, dotykając głębin jaźni, która otwiera przede mną inny świat. *Tik-Tak*. Jest rok 1977. Pode mną Afryka.

Zatem wróciłaś? – potężny głos wybudza mnie z zadumy. – *Czyli jest jeszcze nadzieja...*

Mandela? Co tutaj robisz? – pytam.

Czekałem na ciebie. Przemiana duchowa to proces bardzo trudny. Potrzeba odwagi, aby spojrzeć w głąb siebie bez osłon. Ujrzeć swoje rany, wady i pragnienia. Potrzeba ciszy i siły, aby puścić to, co znane, nawet jeśli dawało złudne poczucie bezpieczeństwa. To droga, którą każdy musi przejść sam.

Gdzie jesteś? Co się stało, skoro masz takie przemyślenia?

Jestem w więzieniu. To już trzynasty rok, a otrzymałem dożywocie. Spójrz, jak tu wygląda.

I oto patrzę na Ziemię. Pode mną wyspa: Robben Island.

Więzienie o zaostrozonym rygorze dla więźniów politycznych. Brak kontaktu z rodziną i ze światem. Cele dwa na dwa i pół metra. Betonowe posłania. Wiadra zamiast toalet. Jedzenie ledwie wystarczające, by

przeżyć. Nieopodal wapienne kamieniołomy: białe, osypujące się ściany, a na nich dostrzegam ludzi – przyklejeni są do skał niczym pająki. Widzę pochylone sylwetki z kilofami. Poruszają się wolno. Słońce odbija się od bieli, razi oczy. Oślepia.

Czyli zatrzymała cię rzeka prawdy – Mandela wypowiada słowa z namysłem. – Wkrótce wybudzisz się z iluzji.

Być może. Ale powiedz mi, dlaczego podążam twoim śladem przez całą Afrykę? Przez historię zniewolenia ludzi: od pierwszego istnienia aż po współczesność. Dlaczego szukam słów, które skradło ego? I dlaczego chciałeś tego ode mnie?

To nie ja, to jażń cię prowadzi. Wybrałaś mnie swoim przewodnikiem, zatrzymując w czasie. Więc pojawiaam się i znikam, jednak teraz, gdy otworzysz oczy, będę mógł płynąć swoją drogą – do roku 1993. W Oslo mam otrzymać Pokojową Nagrodę Nobla razem z Frederickiem Willem de Klerkiem. Wszyscy już na mnie czekają...

Aha. Tylko dlaczego wybrałaś właśnie ciebie, nie wiesz?

Nie wiem, być może dlatego, że...

Tik-Tak – nagle wiatr wprowadza mnie do Afryki Południowej. Jest druga połowa XX wieku, właśnie trwa jeden z najokrutniejszych systemów zniewolenia ludzkości: apartheid. W świetle prawa miliony czarnoskórych ludzi wyrzucanych zostaje na margines życia. Są torturowani i masowo zabijani przez białych. Wszyscy: mężczyźni, kobiety, starcy, dzieci. Pozbawiani są jedzenia, leków i opieki. Umierają w męczarniach.

Wtem wśród nich pojawia się Mandela. Człowiek wykształcony; prawnik, który nie ugina się i walczy. Za nich. Skazany został na dożywocie, lecz spędza w więzieniu dwadzieścia siedem lat, gdyż sytuacja w kraju się zmienia.

I może mścić się na białych, szukać zemsty – ale tego nie robi. Przebacza.

Dlaczego przogasiłeś ból zbrodni miłością? – wracam do rozmowy sprzed lat. – I przebaczyłeś wszystkim?

Gniew nie jest sprawiedliwością, której chce jaźń. Spójrz na twoją rzekę zniewolenia. Zanurz w niej twarz. Wtedy i ty przebaczysz innym... i sobie.

Plum. Plum. I oto moje łzy opadają na taflę wody, rozpuszczając w niej iluzoryczny świat: całą mnie, skrzętnie budowaną przez lata. A ja z dziwną apatią obserwuję, jak z nurtem rzeki odpływają kajdany zniewolenia. Nakazy, zakazy, wartości, powinności. Natomiast w świetle słońca ledwie wybrzmiewa moje nowe życie, choć prawie go nie słyszę.

Co teraz? Kim jestem? – dopytuję, otwierając oczy. – Nic nie czuję. Nie wiem, dokąd iść.

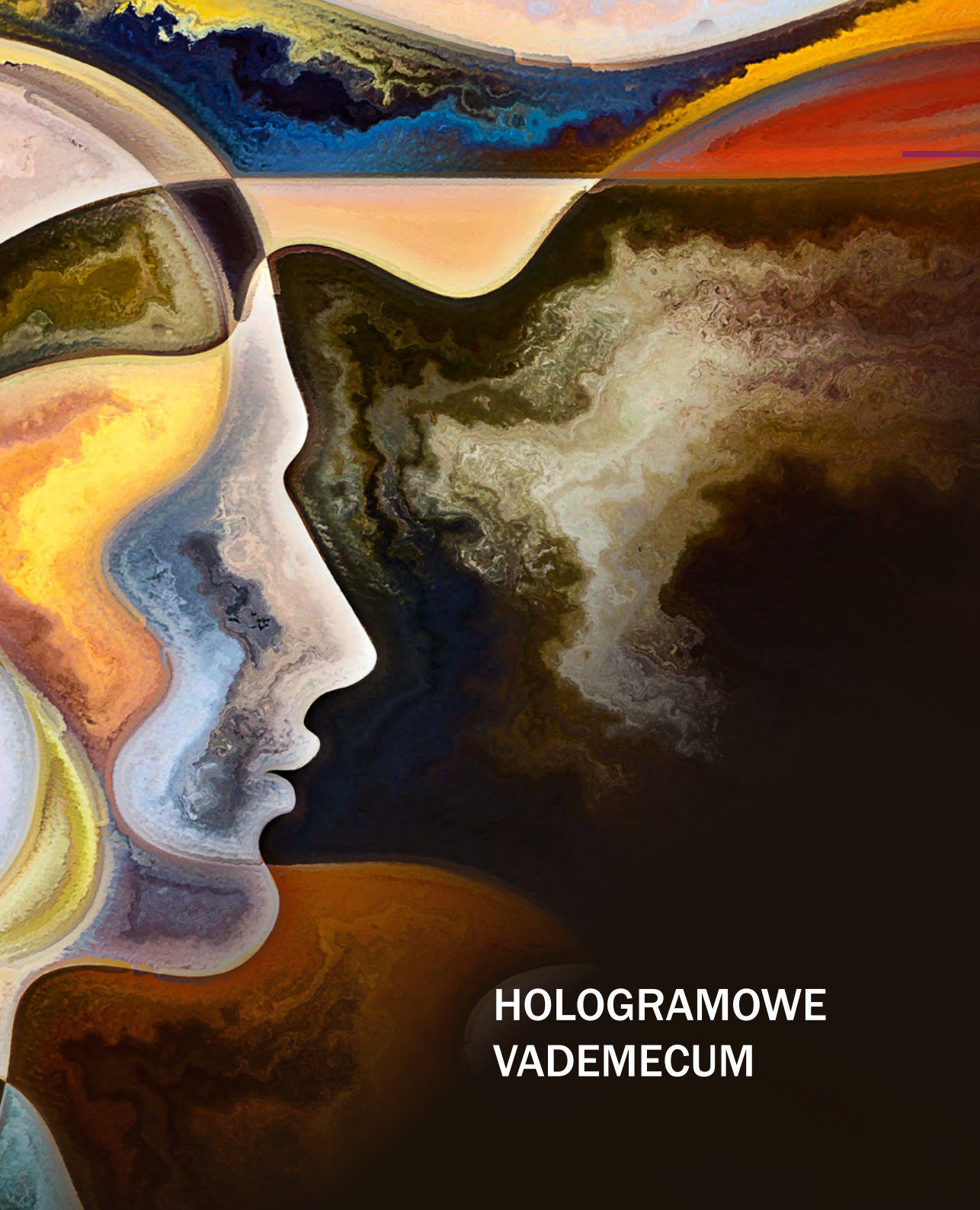
Przed siebie – odpowiada jaźń. – Już czas, abyś zbudowała prawdziwy świat. Szukaj mnie we mgle i ciszy dnia.

Jak?

Intuicja cię poprowadzi.







**HOLOGRAMOWE
VADEMECUM**

Czym jest Jaźń?

Jaźń to inteligentna, duchowa energia, boskie tworzywo istnienia, z którego utkany jest wszechświat – w tym człowiek. Nie jest częścią psychiki ani wewnętrzną cechą jednostki. Jaźń jest pierwotną obecnością, czystym istnieniem, które nie zna granic, nazw ani form. Jest tym, co było, zanim pojawiło się *ja* – i tym, co pozostaje, gdy ego milknie.

W każdej istocie jaźń może przebłyśnąć jako cisza ponad myślami, poczucie połączenia z czymś większym, głęboka intuicja sensu i prawdy.

Nie da się jej zamknąć w słowach ani pojąć intelektem. Można ją jedynie poczuć, rozpoznać i wejść z nią w rezonans – aby zbudować prawdziwy świat, rozpoznać prawdziwe *ja* i odkryć sens życia.

W duchowych tradycjach bywa nazywana Brahmanem, Świadomością, Światłem, Obecnością, Duchem, Bogiem. W języku psychologii Junga – centrum i pełnią psychiki.

Współczesna nauka – choć innym językiem – zaczyna dotykać tej samej tajemnicy, którą duchowe tradycje od wieków nazywały jaźnią.



Od psychologii Junga do współczesnych interpretacji

Na początku XX wieku Carl Gustav Jung potraktował jaźń jako żywe centrum całej naszej psychiki. Uważał, że obejmuje nie tylko to, co świadome, ale też to, czego jeszcze nie jesteśmy świadomi – naszą głębię, cień (wszystko to, co zostało w nas wyparte, stłumione lub zapomniane, a jednak nadal działa), intuicję, sny, archetypy. To ona prowadzi człowieka ku wewnętrznej pełni.

Tę drogę nazwał procesem indywiduacji – czyli dojrzewaniem do siebie samego, do prawdy o tym, kim jesteśmy w swej istocie.

Stan integracji to moment, w którym przestajemy udawać. Przestajemy być rozdarci. Nasze wewnętrzne części – lęki, wartości, uczucia, myśli, instynkty – zaczynają ze sobą współpracować. Człowiek staje się całością.

Współcześni psychologowie inspirowani Jungiem – m.in. jego uczniowie, a później autorzy tacy jak Robert A. Johnson, Jean Shinoda Bolen czy James Hollis – mówią o jaźni jako o wewnętrznym przewodniku. To coś, co nie krzyczy, ale jest zawsze obecne. Coś, co nie prowadzi przez sukces, lecz przez sens. Coś, co porządkuje nasze życie od środka – bez przemocy, bez presji, ale z prawdą i siłą.



Jaźń a nauka

Pojęcie jaźni pojawiło się w nauce na przełomie XIX i XX wieku – najpierw w filozofii i psychologii.

Jednym z pierwszych uczonych, którzy próbowali je opisać w kategoriach naukowych, był William James – amerykański psycholog i filozof, który widział jaźń jako dynamiczny proces samoświadomości. Wyróżnił on dwa aspekty: *ja*, które przeżywa, i *mnie*, które jest przeżywane – co otworzyło drogę do dalszych, głębszych analiz tego, kim jesteśmy jako istoty świadome.

Prawdziwy przełom przyniósł jednak Carl Gustav Jung, który w pierwszej połowie XX wieku wprowadził do psychologii pojęcie jaźni jako realnego centrum i całości psychiki – czegoś znacznie głębszego niż ego, obejmującego zarówno świadomość, jak i to, co nieświadome.

Od tego momentu pojęcie jaźni zaczęło rozwijać się w różnych kierunkach – od psychologii głębi i transpersonalnej, przez neuronaukę, aż po fizykę kwantową. Każda z tych dziedzin mówi o niej inaczej, ale coraz częściej zbliżają się do tej samej intuicji: że istnieje w nas coś fundamentalnego, co spaja, prowadzi i przekracza osobowe *ja*.

Jaźń w tradycjach duchowych

Człowiek od zawsze nosił w sobie potrzebę połączenia z czymś większym – z tym, co święte, wieczne i prawdziwe. Wiara była pierwotnym wyrazem tej tęsknoty.

Świadczą o tym rytualne pochówki, malowidła naskalne, tańce inicjacyjne, modlitwy do duchów przodków oraz obecność szamanów – strażników kontaktu z niewidzialnym światem. Nie istniały jeszcze religijne instytucje ani doktryny – tylko żywe przeżycie, że życie ma duchowy wymiar.

W różnych tradycjach jaźń nazywano różnie: światłem, duszą, duchem, iskrą, obecnością, Bogiem. Ale zawsze wskazywała na ten sam wewnętrzny punkt – czystą, niezmienną esencję istnienia, ukrytą pod zmiennością ról, przekonań i emocji. I chociaż wszystkie te tradycje różnią się językiem i obrazami, mówią o tym samym: że istnieje głębszy wymiar tożsamości – prawdziwe *ja* ukryte pod maskami, lękiem i iluzją. I że dostęp do niego możliwy jest nie przez systemy, lecz przez rozpoznanie, ciszę i wewnętrzną przemianę.



W **hinduizmie** jaźń to Atman – wewnętrzna boska natura człowieka, tożsama z Brahmanem, czyli najwyższym źródłem wszelkiego istnienia. Ostatecznym celem życia jest rozpoznanie, że wszystko, co istnieje, jest jednością.

W **buddyzmie**, choć odrzuca się pojęcie trwałego *ja*, praktyka duchowa prowadzi do stanu przebudzenia – czystej obecności, wolnej od ego, lęku i iluzji. To właśnie tam rozpoznaje się przestrzeń podobną do jaźni – pełną ciszy i współczucia.

W **chrześcijaństwie** jaźń nie jest pojęciem teologicznym, ale jej sens pojawia się w słowach Jezusa o Królestwie Bożym *w nas*, w mistycznym zjednoczeniu duszy z Bogiem, w obrazie *nowego człowieka* narodzonego z ducha. Mistycy mówili o wewnętrznym świetle i ciszy, w której nie ma już oddzielenia.

W **islamie mistycznym (sufizmie)** jaźń bywa opisywana jako cząstka Boga w człowieku – czysta obecność, która w mistycznym doświadczeniu rozpoznaje swoją jedność z Tym, co wieczne. *Nie jesteś kroplą w oceanie – jesteś całym oceanem w kropli* – pisał Rumi.

W **judaizmie mistycznym (kabała)** pojawia się pojęcie iskry boskości, ukrytej w duszy człowieka i we wszystkim, co istnieje. Duchowa praktyka ma na celu jej rozpoznanie i powrót do źródła.

W **tradycjach rdzennych (Afryka, obie Ameryki, Australia)** nie oddzielano jaźni od świata. Duch był obecny w naturze, w przodkach, w codziennym życiu. Istnienie miało sens nie przez wiarę w coś zewnętrznego, lecz przez doświadczenie jedności z całym życiem.

Osoba przebudzona

Każda tradycja duchowa widzi nieco inaczej osobę przebudzoną w jaźni. Każda kultura tworzy swoje obrazy – oświecenia, zbawienia, wyzwolenia, zjednoczenia.

Ale pod tymi różnymi językami kryje się wspólny sens: **istota przebudzona nie czuje się już oddzielona**. Nie żyje dla obrazu siebie, lecz **jako czyste istnienie**.

To nie znaczy, że *nie wie, kim jest*. Ona wie – ale nie przez myśl, tylko przez **bycie**.

Nie mówi: *jestem tym albo jestem tamtym* – lecz po prostu **jest**. Nie roztopia się bez reszty w przestrzeni, nie traci zdolności działania – ale działa bez napięcia, jest bez potrzeby stwarzania roli, kocha bez warunku.

Ego nie znika fizycznie – ale **przestaje rządzić**. Traci władzę.

Taki człowiek:

Nie potrzebuje niczego udowadniać, bo jego wartość nie wynika z porównań.

Nie identyfikuje się z myślami, emocjami ani historią – ale ich nie odrzuca.

Czuje głęboką jedność z życiem – każdą istotą, dźwiękiem, chwilą.

Jest obecny – nie jako funkcja, lecz jako przestrzeń, w której wszystko może się wydarzyć.

Zamiast kontrolować – słucha.

Zamiast walczyć – obejmuje.

Zamiast szukać siebie – jest sobą.

To nie stan oderwania od świata – lecz **pełne zamieszkanie w nim**, bez ucieczki, ale i bez przywiązania. Człowiek przebudzony, żyjący w relacji z jaźnią, nie jest idealny – ale jest autentyczny, prawdziwy i wolny.



Duchowe ścieżki Afryki

– wiara, która przetrwała wszystko

Afrykańska ziemia od tysięcy lat pulsowała duchem – niewidzialnym, lecz obecnym we wszystkim. Wiara była tam, gdzie nie było instytucji; była w rytmie bębnów, w modlitwie szeptanej nocą, w świętym drzewie i ciszy między słowami. Gdy przyszło zniewolenie – jako handel, kolonizacja, przemoc – to właśnie ona pozostała ostatnią nicią łączącą ludzi z ich źródłem.

Tradycje afrykańskie – duchowe korzenie kontynentu

Obecne niemal w każdej społeczności – od Jorubów w zachodniej Nigerii, przez Ewe z terenów dzisiejszego Togo i Ghany, aż po Zulu z południa Afryki i Sanów z pustyni Kalahari – rdzenne systemy wierzeń tworzyły duchową mapę kontynentu. Opierały się na kontakcie z przodkami, z rytmem natury i z niewidzialną siłą, która przenika życie. Świętość była tuż obok: w rzece, w oddechu, w błyskawicy. Nie istniał podział na sacrum i profanum – świat był jedną.

Duchowi przewodnicy – szamani, wróżbici, uzdrowiciele – nie mówili o Bogu, lecz byli jego głosem. Rytuały przejścia, modlitwy, sny i pieśni tworzyły pamięć o duchowym porządku, którego nie złamała nawet fala zniewolenia. Gdy Afrykanie trafiali w niewolę, właśnie te pierwotne wierzenia – wypierane i zakazywane – przekształcały się w potężne formy duchowego oporu i tożsamości.



Z tych tradycji narodziły się religijne systemy diaspor afrykańskich, które do dziś niosą ich echo:

Vodou (Haiti)

Vodou to system duchowych praktyk, który wyrósł z wierzeń Jorubów, Fonów i ludów Kongo, przywiezionych na Karaiby w XVII i XVIII wieku. Aby przetrwać zakazy, afrykańskie duchy ukrywano pod postaciami katolickich świętych – np. Legba, strażnik przejść, utożsamiany był ze św. Piotrem, a Erzulie, duch miłości i opiekunka kobiet – z Matką Boską.

W ten sposób przetrwał kult przodków i duchów. To właśnie ceremonia vodou w 1791 roku dała duchowy impuls do powstania niewolników na Haiti – jedyne w historii, które doprowadziło do wyzwolenia i niepodległości.

Candomblé (Brazylia)

Candomblé to afrobrazylijski system wierzeń, który powstał wśród afrykańskich niewolników sprowadzanych głównie z terenów dzisiejszej Nigerii i Angoli. Łączył kult orishas – bóstw natury i przodków – z postaciami katolickich świętych. Był formą leczenia, ochrony i przetrwania. Mimo prześladowań, przetrwał jako duchowa duma i wspólnota.

Santería (Kuba)

Santería to religijna tradycja, która narodziła się wśród potomków Jorubów pracujących na kubańskich plantacjach. Aby przetrwać represje, afrykańskie rytuały ukrywano pod katolicką formą. Santería zachowała bębny, taniec, śpiew i kontakt z duchami przodków. Dziś żyje jako duchowość uzdrawiania, modlitwy i połączenia z siłami życia.

Islam w Afryce

Islam dotarł do Afryki już w VII wieku – wkrótce po śmierci Mahometa. Rozprzestrzeniał się łagodnie, najpierw przez kupców i mistyków, a nie przez podbój. Wędrował wraz z karawanami przez Saharę – z Półwyspu Arabskiego do Sahelu, aż po wybrzeża Oceanu Indyjskiego.

Zyskał głęboki wpływ zwłaszcza w Afryce Północnej, na Sahelu i w regionach takich jak Mali, Senegal, Nigeria, Sudan, Etiopia i Tanzania. Był nie tylko religią – stał się strukturą, która wspierała handel, prawo i edukację. Medresy i meczety kształciły elity. Język arabski spajał rozproszone ludy.

Ale to mistyczny **islam – sufizm** – zbudował duchowy most, który przetrwał niewolę i kolonizację. Dla wielu był nie formą władzy, lecz wewnętrzną ścieżką – opartą na miłości, muzyce i ciszy.

Kulminacja: Imperium Mali

W XIV wieku cesarz Mansa Musa – sułtan Imperium Mali – uczynił Timbaktu jednym z największych centrów islamskiej nauki i duchowości. Meczet Djinguereber i biblioteki Timbaktu przyciągały mędrców z całego świata. Islam był tu narzędziem kultury i wiedzy – a jednocześnie przestrzenią duchowego rozwoju.

W czasie niewolnictwa

Wielu zniewolonych Afrykanów wyznawało islam już przed pojmaniem – zachowali modlitwy, wersety Koranu i imiona Allaha nawet w niewoli. Znani są muzułmańscy uczeni wśród niewolników w Ameryce – jak Omar ibn Said (Carolina) czy Ayuba Suleiman Diallo (przywieziony z Senegalu do Anglii).

Dla tych ludzi islam nie był religią państwową – był siłą wewnętrzną, pamięcią, która dawała tożsamość i godność.



Chrześcijaństwo w Afryce

Choć chrześcijaństwo jest dziś jedną z największych religii Afryki, przybierało tam różne formy – od starożytnych, niezależnych wspólnot koptyjskich po kolonialne misje katolickie i protestanckie. Każdy z tych nurtów niósł inne przesłanie, miał inny sposób działania i inny wpływ na ludzi. Dla zniewolonych i wykluczonych chrześcijaństwo stawało się często nie systemem, lecz przestrzenią wewnętrznego umocnienia. Niektóre wspólnoty wzmacniały duchowość i poczucie godności, inne – powielaly przemoc kolonialnych struktur.

Kościół koptyjski

Egipt, Etiopia, Erytrea

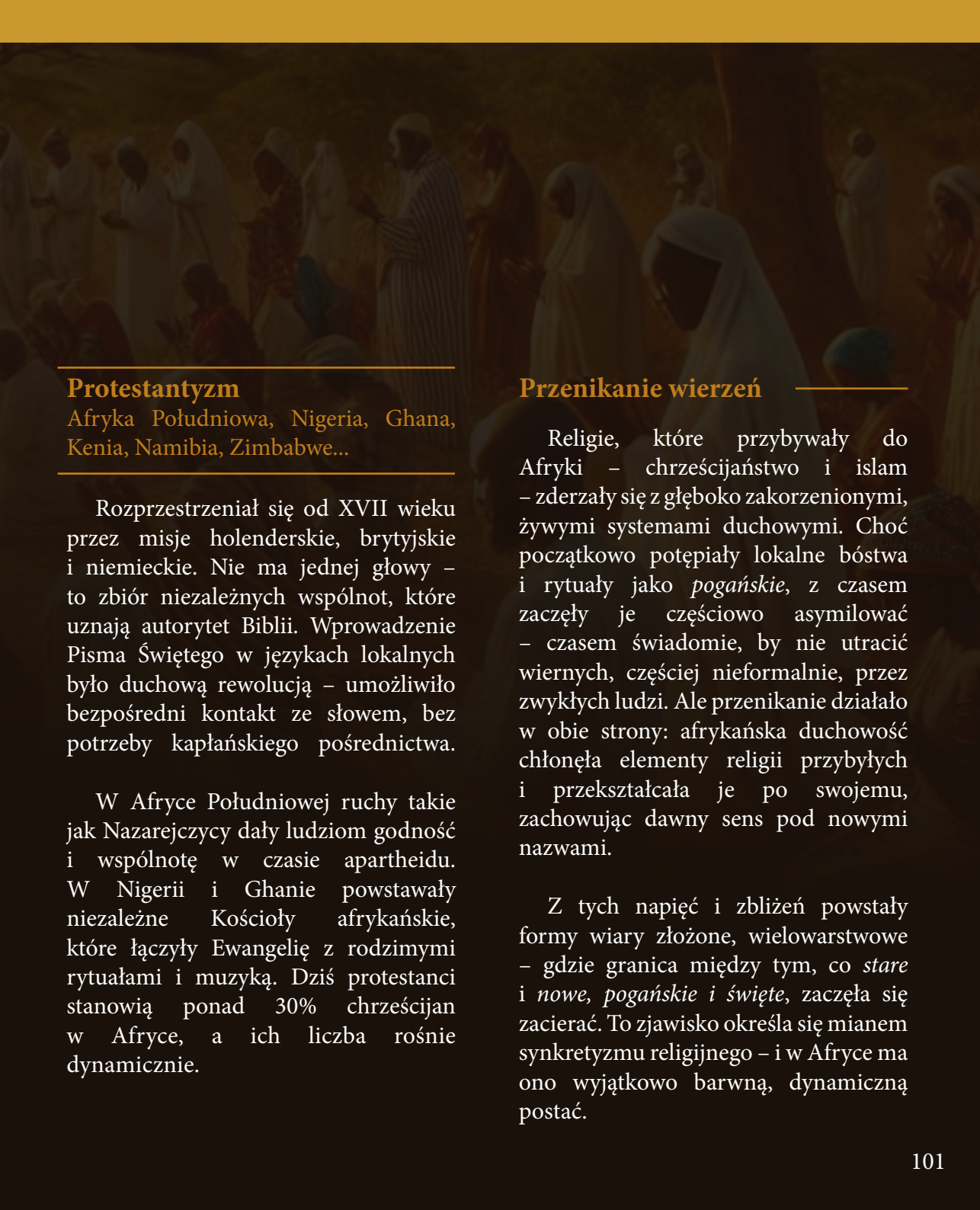
Jeden z najstarszych Kościołów chrześcijańskich na świecie. Powstał już w I wieku n.e., gdy według tradycji św. Marek założył wspólnotę chrześcijańską w Aleksandrii. Głową Kościoła jest koptyjski papież – rezydujący w Egipcie, niezależny od Rzymu. W Etiopii duchową władzę przypisuje się także św. Pawłowi jako głosicielowi pierwotnej nauki.

Kościół koptyjski przetrwał wieki jako religia narodowa – nie skolonizowana, nie podporządkowana Zachodowi. Podczas islamizacji i wojen, stał się ostoją tożsamości i jedności duchowej. Do dziś miliony wiernych w Egipcie i Etiopii pozostają jego członkami.

Katolicyzm

Kongo, Angola, Rwanda, Mozambik, Madagaskar, Wybrzeże Kości Słoniowej...

Dotarł do Afryki przez misje portugalskie już w XV wieku, a w XIX wieku rozwinął się dzięki misjom francuskim i belgijskim. Papieżem i głową Kościoła katolickiego jest biskup Rzymu. Początkowo był narzędziem kolonizacji – chrztu udzielano w ramach *cywilizowania* tubylców. Ale w XX wieku katolickie szkoły, zakony i wspólnoty (np. bractwa maryjne) odegrały dużą rolę w budowaniu poczucia godności i wykształcenia. W niektórych krajach (Rwanda, Kongo) katolicyzm stał się dominującą religią – z milionami wiernych i setkami instytucji edukacyjnych. Dziś katolicy stanowią około 18% całej ludności Afryki.



Protestantyzm

Afryka Południowa, Nigeria, Ghana,
Kenia, Namibia, Zimbabwe...

Rozprzestrzeniał się od XVII wieku przez misje holenderskie, brytyjskie i niemieckie. Nie ma jednej głowy – to zbiór niezależnych wspólnot, które uznają autorytet Biblii. Wprowadzenie Pisma Świętego w językach lokalnych było duchową rewolucją – umożliwiło bezpośredni kontakt ze słowem, bez potrzeby kapłańskiego pośrednictwa.

W Afryce Południowej ruchy takie jak Nazarejczycy dały ludziom godność i wspólnotę w czasie apartheidu. W Nigerii i Ghanie powstawały niezależne Kościoły afrykańskie, które łączyły Ewangelię z rodzimymi rytuałami i muzyką. Dziś protestanci stanowią ponad 30% chrześcijan w Afryce, a ich liczba rośnie dynamicznie.

Przenikanie wierzeń

Religie, które przybywały do Afryki – chrześcijaństwo i islam – zderzały się z głęboko zakorzenionymi, żywymi systemami duchowymi. Choć początkowo potępiały lokalne bóstwa i rytuały jako *pogańskie*, z czasem zaczęły je częściowo asymilować – czasem świadomie, by nie utracić wiernych, częściej nieformalnie, przez zwykłych ludzi. Ale przenikanie działało w obie strony: afrykańska duchowość chłonęła elementy religii przybyłych i przekształcała je po swojemu, zachowując dawny sens pod nowymi nazwami.

Z tych napięć i zbliżeń powstały formy wiary złożone, wielowarstwowe – gdzie granica między tym, co *stare* i *nowe*, *pogańskie* i *święte*, zaczęła się zacierać. To zjawisko określa się mianem synkretyzmu religijnego – i w Afryce ma ono wyjątkowo barwną, dynamiczną postać.

Przykłady synkretyzmu chrześcijańskiego

Mami Wata

Duch Święty lub święta uzdrowicielka

Pochodzenie: Afryka Zachodnia i Środkowa (Nigeria, Ghana, Togo, Benin).

Wcześniej: Przez misjonarzy uznawana za demona – symbol pokusy, chaosu, zmysłowości.

Później: W niektórych wspólnotach zielonoświątkowych (nieoficjalnych, niezależnych) zaczęto łączyć postać Mami Wata z symboliką Ducha Świętego lub świętej kobiety o mocy uzdrawiania. W kościołach pojawiają się figury kobiet przypominające ją ikonograficznie – choć bez wyraźnego nazwania.



Yemoja / Oshun

Maryja Panna

Pochodzenie: Religia Jorubów, Nigeria. Yemoja – bogini mórz i opieki, Oshun – bogini rzeki, miłości i płodności.

Wcześniej: Odrzucane przez Kościół jako bóstwa pogańskie.

Później: W religiach diaspor (Candomblé, Santería) zostały utożsamione z Maryją – przez kolor błękitny, symbolikę macierzyństwa i związek z wodą. Modlitwy i obrzędy pozostały, zmieniło się imię.



Shango

św. Michał Archanioł

Pochodzenie: Jorubowie. Shango – bóg burzy, piorunów, siły i sprawiedliwości.

Wcześniej: Zakazany jako demoniczny przez misjonarzy.

Później: W religiach afrodiasporycznych utożsamiany z Archaniołem Michałem – wojownikiem z ogniem i mieczem. Świąta ku czci Michała mają w sobie rytuały ognia, tańca i bębnow.



Legba

św. Piotr / prorok Eliasz

Pochodzenie: Fon, Ewe (Benin, Ghana, Togo). Legba – duch bram, przejść, łącznik światów.

Wcześniej: Przedstawiany jako demoniczny strażnik granic.

Później: W diasporze utożsamiany ze św. Piotrem (klucze do nieba) i prorokiem Eliaszem (ogień i przejścia). Rytuały *otwierania drogi* do dziś obecne w modlitwach pod ich imionami.



Bóstwa przodków

kult świętych (katolicyzm i Kościół koptyjski)

Pochodzenie: Wierzenia obecne niemal w każdej afrykańskiej kulturze – duchy przodków jako opiekunowie.

Wcześniej: Odrzucane jako bałwochwalstwo.

Później: Kult przodków przekształcono w kult świętych. Zamiast przodka – święty; zamiast ofiary – modlitwa; zamiast amuletu – obrazek lub relikwia. Święci zamieszkali na domowych ołtarzach tak jak wcześniej duchy przodków.



Przykłady synkretyzmu islamskiego

Zar

modlitwa oczyszczająca

Pochodzenie: Etiopia, Sudan, Egipt. Rytuał odpędzania duchów, głównie u kobiet.

Wcześniej: Potępiany przez teologów jako zabobon.

Później: W islamie ludowym (szczególnie wśród kobiet i sufich) zyskał nowe formy. W niektórych meczetach sufickich zar bywa praktykowany jako duchowe oczyszczenie – łącząc recytacje Koranu z bębnami i transowym tańcem.



Przykłady synkretyzmu liturgicznego i rytualnego

Święto Timkat (Etiopia)
rytuał oczyszczenia

Pochodzenie: Kościół etiopski, święto chrztu Jezusa.

Synkretyzm: Procesje z wodą i zbiorowe kąpiele przypominają przedchrześcijańskie rytuały oczyszczenia związane z duchami rzek i wodnych przodków.



Tańce liturgiczne i muzyka bębnow

Zasięg: Kościoły afrykańskie w Etiopii, Kongu, Angoli, Nigerii.

Synkretyzm: Rytmiczne modlitwy, bębny i transowe pieśni mają korzenie w obrzędach przodków i szamańskich praktykach – obecnie wplecione w chrześcijańskie nabożeństwa.



Święcenie domów, wody, ziół

Zasięg: Katolickie wspólnoty Afryki Zachodniej i Środkowej.

Synkretyzm: Tradycyjne rytuały ochronne z użyciem liści, popiołu i amuletów zostały zastąpione przez święcenie wody, kadzidła i błogosławienie domów – zachowując tę samą funkcję duchowej ochrony.



Miejsca kultu natury: chrześcijańskie punkty pielgrzymkowe

Przykład: Thaba Bosiu w Lesotho – niegdyś święta góra duchów przodków, dziś miejsce protestanckich modlitw.

Synkretyzm: Wielu świętych miejsc natury – gór, źródeł, skał – zostało *ochrzczonych* jako miejsca objawień, cudów, modlitw. Przestrzeń została przemianowana, ale energia miejsca pozostała ta sama.





Misje chrześcijańskie i islamskie w Afryce

Misje chrześcijańskie w XIX wieku

Misje chrześcijańskie odegrały kluczową rolę w duchowym krajobrazie Afryki XIX wieku. Choć wiele z nich towarzyszyło kolonizacji, część przekształciła się w przestrzenie oporu, nauki i uzdrowienia. Dla ludzi zniewolonych bywały jedynym miejscem, gdzie mogli przeczytać własne imię i odzyskać głos, a z czasem – także nadzieję

W drugiej połowie XIX wieku działało na kontynencie ponad siedemset stacji misyjnych, głównie w Afryce Subsaharyjskiej. Najsilniejsze ośrodki znajdowały się w dzisiejszej Ghanie, Nigerii, Sierra Leone, Liberii, Kapsztadzie, na Madagaskarze, w Tanganice i wokół Jeziora Wiktorii.

Misje katolickie

Działały głównie w Afryce Zachodniej i Centralnej. Największe zgromadzenia to:

- Misjonarze Ducha Świętego (np. Kongo, Rwanda, Senegal),
- Ojcowie Biali (Afryka Północna i Wielkie Jeziora),
- Zgromadzenie Misji (lazaryści, głównie z Francji i Belgii).

Misje katolickie zakładały szkoły, sierocińce, szpitale i lokalne wspólnoty, często w ślad za administracją kolonialną. Mimo kolonialnego kontekstu, w wielu miejscach były jedynym miejscem ochrony dla sierot, porwanych dziewcząt i ludzi pozbawionych opieki. Szczególnie żywa sieć działała w Angoli i Kongu Belgijskim.



Misje protestanckie

Rozwinęły się intensywnie od początku XIX wieku dzięki:

- Londyńskiemu Towarzystwu Misyjnemu,
- Misji Bazylejskiej,
- Misji Rhenish,
- Kościołowi Metodystycznemu,
- ewangelikom z Niemiec, Szwajcarii i Holandii.

Choć bardziej rozproszone, były często bardziej egalitarne i skupione na kształceniu lokalnych liderów. W takich miejscach jak Sierra Leone, Złote Wybrzeże (Ghana), Kapsztad misje protestanckie promowały edukację i duchową niezależność, tłumaczyły Biblię na języki lokalne i tworzyły wspólnoty dla wyzwolenców. Nauczyciele misyjni bywali pierwszymi, którzy mówili: *Jesteś równy*.

Genadendal: Dolina Łaski

Założona w 1738 roku u podnóża gór w dzisiejszej Republice Południowej Afryki, Genadendal była jedną z najstarszych i najbardziej symbolicznych misji na kontynencie.

Jej duchowe fundamenty położył George Schmidt – misjonarz Braci Morawskich. Pochodzący z Niemiec i Czech Bracia Morawscy nie tylko ewangelizowali, ale żyli z lokalną społecznością na równych zasadach – co czyniło ich podejście wyjątkowym.

Mimo że przez wiele lat byli marginalizowani przez Holenderską Kompanię Wschodnioindyjską (VOC), przetrwali.

W Genadendal uczono czytać, pisać, modlić się – nie jako poddanych, lecz jako dzieci jednego Boga. Dla wielu byłych niewolników była to pierwsza przestrzeń godności.



Kościoły afrykańskie i niezależne wspólnoty

Z czasem w Afryce zaczęły powstawać niezależne kościoły afrykańskie, inspirowane chrześcijaństwem, ale zakorzenione w lokalnej duchowości.

Wśród nich:

- Etiopski Kościół Ortodoksyjny Tewahedo (Etiopia),
- Kościół Nazarejczyków (RPA),
- Kościoły Proroków (Zimbabwe i Zambia),
- African Independent Churches w Nigerii i Ghanie.

Ich liderami byli często byli niewolnicy, prorocy czy uzdrowiciele, którzy tworzyli duchową alternatywę – łącząc modlitwy z rytmem bębnow, snami, śpiewem i leczeniem. Dla wielu Afrykanów były to pierwsze wspólnoty, w których mogli być sobą – i z Bogiem jednocześnie.

Bractwa sufickie i duchowość islamska

Choć islam w Afryce rozprzestrzenił się głównie przez handel, migrację i naukę, bractwa sufickie pełniły funkcję duchowych *misji* – oferując opiekę, wiedzę i godność ludziom zniewolonym i wykluczonym.

Bractwa sufickie w Afryce

W Afryce Zachodniej i Sahelu – od Senegalu po Sudan – rozwijały się bractwa takie jak:

- **Tidżaniyya** (zał. Algieria, XVIII w.) – silna w Mali, Nigrze, Nigerii. Zakładała szkoły, dawała schronienie byłym niewolnikom, uczyła arabskiego i modlitw.
- **Qadiriyya** (XI w.) – najstarsze bractwo, aktywne w Sudanie, Senegalu, Czadzie. Prowadziło madrasę i organizowało duchową mobilizację społeczną.
- **Muridiyya** (Senegal, XIX w.) – ruch założony przez Cheikha Amadou Bambę, nauczyciela, poetę i pokojowego buntownika przeciw kolonializmowi.

Bractwa te łączyły islam z lokalnymi językami i rytuałami. Uczyły, że każdy człowiek – nawet zniewolony – ma bezpośredni dostęp do Boga. Bez pośredników. Bez lęku.

Znaczenie dla zniewolonych

W czasach kolonialnych, gdy system traktował Afrykanów jak podludzi, to właśnie bractwa sufickie budowały wspólnoty oparte na solidarności i duchowości. Oferowały schronienie uciekinierom, uczyły pisać i modlić się, dawały tożsamość.

W Mali, Senegalu, Sudanie, a nawet na wybrzeżu Tanzanii, to nie rządy, lecz islamscy nauczyciele mówili: *Jesteś dzieckiem Boga. Modlitwa to wolność. Wiedza to broń.*

Apartheid

Apartheid był jednym z najdłużej trwających i najbardziej brutalnych systemów zniewolenia w historii ludzkości. Obowiązywał w Republice Południowej Afryki od 1948 do 1994 roku – przez 46 lat.

Ponad 30 milionów czarnoskórych ludzi zostało zamkniętych w rezerwach biedy, odciętych od szpitali, szkół i pracy. Tysiące zginęło z rąk policji lub zmarło w wyniku głodu, chorób czy przemocy systemowej – pozbawieni nie tylko obywatelstwa, ale i elementarnego człowieczeństwa.

Korzenie apartheidu sięgają głęboko w historię kolonizacji. Już od XVII wieku biali osadnicy – najpierw niderlandzcy Burowie, potem Brytyjczycy – narzucali czarnoskórym mieszkańcom Południowej Afryki systemy pracy przymusowej, wywłaszczeń i przemocy. Kolonialne ustawy stopniowo odbierały ludziom ziemię, język oraz prawa polityczne i gospodarcze.

W 1913 roku tzw. *Native Land Act* zabronił czarnoskórym posiadania ziemi na ponad 90% terytorium kraju – mimo że stanowili oni przeważającą część ludności.

W latach 30. XX wieku biali przemysłowcy i właściciele kopalń zaczęli stosować system tzw. compound housing – baraków pracy, w których czarnoskórzy robotnicy mieszkali pod strażą, oddzieleni od rodzin, w nieludzkich warunkach higienicznych, często z identyfikatorem na szyi i przydziałem na kukurydzianą papkę.

W 1948 roku Afrykanerska Partia Narodowa przekształciła te praktyki w oficjalny system państwowy.

Apartheid (z afrikaans: *oddzielenie*) został usankcjonowany jako całościowa doktryna segregacji rasowej, która miała rzekomo *chronić tożsamość białej ludności*. W rzeczywistości był on zbiorem około 150 ustaw, które regulowały każdy aspekt życia – od miejsca zamieszkania, przez edukację i zawody, aż po małżeństwa i dostęp do toalety.



System zaplanowanego upodlenia

Apartheid dzielił ludzi według koloru skóry: na białych, czarnych, Kolorodów (osoby o mieszanym pochodzeniu) i *Azjatów* (głównie Hindusów i Malajów). Każdej grupie przypisano inne prawa – od pełni praw obywatelskich po ich całkowity brak.

Utworzono 10 tzw. bantustanów – sztucznych, quasi-niepodległych *czarnych państw*, w których umieszczano czarną ludność. Nie były uznawane przez społeczność międzynarodową. Nie miały suwerenności, ani własnych zasobów. Służyły jako miejsca przymusowego przesiedlenia – pozbawione infrastruktury, edukacji, dostępu do pracy.

Do bantustanów przesiedlono przymusowo ponad 3,5 miliona ludzi. Ich domy burzono spsychaczami. Przesiedlenia przeprowadzano bez uprzedzenia, często w obecności wojska i policji. Ludzie tracili dach nad głową, pracę, kontakt z rodziną.

Wybrane przepisy apartheidu:

- czarnoskórzy obywatele nie mieli prawa głosu
- nie mogli mieszkać ani pracować w *białych* dzielnicach bez zezwoleń
- obowiązywał system *passów* i identyfikatorów rasowych
- zakazano małżeństw i związków międzyrasowych
- istniały oddzielne szkoły, szpitale, środki transportu, cmentarze, plaże i ławki



Życie w bólu i nędzy

Miliony czarnych mieszkańców żyli w głodzie, chorobach, bez dostępu do opieki zdrowotnej. Wśród nich rozpowszechniała się gruźlica, malaria i AIDS. Dzieci uczyły się na powietrzu albo w salach bez elektryczności, bieżącej wody i podręczników. Na osiemdziesięciu uczniów przypadał jeden nauczyciel. Do szkół chodziły pieszo, często nawet dziesięć kilometrów.

Przykładowe akty przemocy

Sharpeville (1960): podczas pokojowego protestu przeciwko *passom* policja zabiła 69 osób – większość w plecy, w tym dzieci. Ponad 180 zostało rannych.

Soweto (1976): uczniowie wyszli na ulice w obronie prawa do nauki we własnym języku. Zginęło ponad 170 dzieci, niektóre miały 10–12 lat.

Setki działaczy zginęły w aresztach – duszeni, bici, paleni. Najślynniejszy – Steve Biko – został zamordowany w 1977 roku. Jego śmierć stała się symbolem *zabijania za myślenie*.

Ruch oporu

Mimo brutalności, Afrykanie nigdy nie pogodzili się z apartheidem. Tworzyli tajne szkoły, wspólnoty oporu, chóry, ruchy modlitewne. Kościoły niezależne – jak Ruch Nazarejczyków – dawały ludziom siłę i godność.

Wielu wykształconych czarnoskórych działaczy – jak Nelson Mandela, Oliver Tambo, Albertina Sisulu – rozpoczęło walkę już w latach 50. – najpierw pokojowo, potem również poprzez zorganizowany opór.



Upadek apartheidu

W latach 80. system zaczął się kruszyć – w wyniku sankcji międzynarodowych, strajków, powstań i izolacji RPA. W 1990 roku Nelson Mandela wyszedł z więzienia po 27 latach. Wraz z prezydentem Frederikiem de Klerkiem rozpoczął negocjacje o pokojowym przejściu do demokracji. Ich rozmowy toczyły się w cieniu wojny domowej i politycznych zamachów – a mimo to zakończyły się sukcesem.

Pojednanie największy akt odwagi

W 1994 roku odbyły się pierwsze wolne wybory, w których głosowali wszyscy. Prezydentem został Mandela. Zamiast odwetu – wybrał pojednanie. Powołał Komisję Prawdy i Pojednania, którą kierował arcybiskup Desmond Tutu. Ofiary mogły opowiedzieć swoje historie. Sprawcy – złożyć skruczę w zamian za amnestię. Nie chodziło o zapomnienie, lecz o uzdrowienie duszy narodu.

Kontrowersje

Komisja wzbudziła silne emocje – szczególnie wśród rodzin ofiar, które uważały, że przebaczenie bez kary oznacza bezkarność. Sprawcy brutalnych zbrodni – tortur, gwałtów, morderstw – mogli uniknąć procesu, jeśli złożyli pełne zeznania i wyrazili skruchę. Krytykowano również to, że ponad 1000 wniosków o amnestię zostało przyjętych, a wiele ofiar nigdy nie poznało prawdy o losie swoich bliskich. Dla niektórych była to *moralna konieczność*, dla innych – *niesprawiedliwość ubrana w język pojednania*.

Dziedzictwo i przestroga

Apartheid nie zniknął całkowicie – jego skutki są widoczne do dziś w biedzie, nierównościach i traumie. Ale świat pamięta, że ten system został pokonany nie przez nienawiść, lecz przez determinację, solidarność i duchową siłę zwykłych ludzi.

To historia ostrzeżenia – że prawo może być użyte jako narzędzie zbrodni. Ale też historia nadziei – że nawet po największym cierpieniu możliwe jest pojednanie.



Nelson Mandela

Pochodzenie i młodość

Nelson Rolihlahla Mandela urodził się 18 lipca 1918 roku w wiosce Mvezo w Transkei – autonomicznym terytorium ludu Xhosa, pod panowaniem Brytyjczyków. Pochodził z arystokratycznego rodu Thembu – jego ojciec był doradcą lokalnego wodza. Już jako dziecko otrzymał imię *Rolihlahla*, co w języku Xhosa oznacza *ciągnący gałąź drzewa* – metaforycznie: *psotnik* lub *buntownik*.

Edukacja i przebudzenie polityczne

Mandela uczęszczał do metodystycznej szkoły misyjnej, gdzie nadano mu imię *Nelson*. Studiował prawo na Uniwersytecie Fort Hare – jedynej wówczas uczelni dla czarnej elity intelektualnej w Afryce Południowej. Został jednak usunięty za udział w bojkocie wyborów do rady studentów. Kontynuował naukę w Johannesburgu i na Uniwersytecie Witwatersrand.

To w Johannesburgu zetknął się z rzeczywistością rasowej segregacji i dołączył do Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC), który wówczas głosił ideę pokojowego oporu. Jego świadomość polityczna zaczęła ewoluować – od legalistycznych form protestu do walki bezpośredniej.





Pierwsze małżeństwo: Evelyn Mase

W 1944 roku Mandela poślubił Evelyn Mase – pielęgniarkę i kuzynkę Waltera Sisulu. Mieli razem czworo dzieci (dwoje zmarło we wczesnym dzieciństwie). Evelyn była osobą głęboko religijną i nie podzielała politycznych ambicji Mandeli. Ich drogi zaczęły się rozchodzić. Ona chciała spokoju i stabilizacji, on – konfrontacji i wolności dla swojego narodu. Rozwiedli się w 1958 roku.

Drugie małżeństwo: Winnie Madikizela

W tym samym roku Mandela poślubił Winnie Madikizelę – młodą, piękną i charyzmatyczną działaczkę społeczną. Była zdeterminowana, i silna, lecz czasem – zwłaszcza po aresztowaniu Mandeli – zaczęła działać według własnych zasad. Ich małżeństwo przetrwało próbę więzienia, ale nie próbę wolności. Różniły ich metody działania: Mandela szukał pojednania, ona – rewolucji. Rozwiedli się w 1996 roku, choć formalnie pozostali w dobrych relacjach.

Trzecie małżeństwo: Graça Machel

W 1998 roku, w wieku 80 lat, Mandela poślubił Graçę Machel – wdowę po prezydencie Mozambiku Samorze Machelu. Ich związek był symbolem pokoju, dojrzałości i partnerstwa. Graça – działaczka humanitarna – towarzyszyła mu do końca życia.



Więzienie: trzy etapy odosobnienia

W 1962 roku Mandela został aresztowany i skazany na dożywocie za *działalność wywrotową*. Spędził 27 lat w więzieniach:

Działalność przed aresztowaniem

W latach 50. Mandela był jednym z głównych organizatorów pokojowych kampanii przeciwko apartheidowi – m.in. strajków, bojkotu autobusów i protestów. Po masakrze w Sharpeville (1960), podczas której policja zastrzeliła 69 czarnych demonstrantów, ANC zostało zdelegalizowane. Mandela zdecydował się na walkę zbrojną. Współtworzył *Włócznie Narodu* (*Umkhonto we Sizwe*) – zbrojne ramię ANC. Odbył tajne szkolenie wojskowe w Algierii i innych krajach Afryki.

Robben Island (1964–1982): najcięższy etap. Więźniowie byli zmuszani do pracy w kamieniołomie, Mandela przez lata nie mógł pisać listów ani widywać dzieci. Traktowany jak kryminalista, zamknięty w małej celi bez łazienki.

Pollsmoor Prison (1982–1988): warunki były nieco lepsze, ale nadal bez kontaktu ze światem zewnętrznym. Mandela rozpoczął nieoficjalne rozmowy z władzami RPA.

Victor Verster Prison (1988–1990): traktowany jako przyszły przywódca – przeniesiony do komfortowego domku, mógł przyjmować gości i prowadzić negocjacje.



Wyjście z więzienia i negocjacje z de Klerkiem

Mandela został zwolniony 11 lutego 1990 roku. Wówczas rozpoczął trudne negocjacje z prezydentem Frederikem Willem de Klerkiem – przedstawicielem białej władzy, który zdecydował się na demontaż apartheidu. Obaj wiedzieli, że kontynent płonie: wojna domowa w Angoli, ludobójstwo w Rwandzie, zbrojne konflikty w Mozambiku, Kongo, Somalii. Mandela i de Klerk chcieli uniknąć tego scenariusza w RPA. Ich celem było pokojowe przejście władzy i ochrona ludności przed chaosem.

Prezydentura i Komisja Prawdy i Pojednania

W 1994 roku Mandela został pierwszym czarnoskórym prezydentem Republiki Południowej Afryki. Zamiast odwetu wybrał pojednanie. Powołał Komisję Prawdy i Pojednania, kierowaną przez arcybiskupa Desmond Tutu. Jej celem nie było karanie winnych apartheidu, lecz ujawnienie prawdy i uzdrowienie zbiorowej pamięci narodu. Ofiary mogły opowiedzieć swoje historie, oprawcy zaś ubiegać się o amnestię w zamian za skruchę i prawdę.

Nagroda Nobla i działalność po prezydenturze

W 1993 roku Mandela i de Klerk otrzymali Pokojową Nagrodę Nobla za *wspólne wysiłki na rzecz zakończenia systemu apartheidu i ustanowienia demokracji*. Po zakończeniu prezydentury Mandela nie wycofał się z życia publicznego. Założył Nelson Mandela Foundation, która wspiera edukację, walkę z AIDS i prawa człowieka. Wspierał również ruchy pokojowe i rozwojowe w całej Afryce, m.in. w Burundi, Kongo i Liberii.

Przeciwnicy i kontrowersje

Mandela miał przeciwników zarówno wśród białych nacjonalistów, jak i radykalnych czarnoskórych działaczy. Jedni zarzucali mu *zbytnią łagodność* wobec dawnych oprawców, inni – „zdradę” idei rewolucji. Część rodzin ofiar apartheidu uważała, że pojednanie przyszło kosztem sprawiedliwości. Z kolei część elit afrykańskich krytykowała go za promowanie zgody zamiast *czarnego renesansu*.

Duchowe dziedzictwo

Dla milionów ludzi na całym świecie Mandela stał się symbolem moralnej siły, przebaczenia i determinacji. Nie był świętym – ale człowiekiem, który potrafił przejść przez piekło, nie tracąc człowieczeństwa. Jego życie to świadectwo, że prawda, odwaga i współczucie mogą zmienić historię.





Award for Amnesty
and Amnesty International



Ambassador of Conscience Award 2006

In recognition of his visionary leadership and his abiding faith in the power of ordinary people to bring about extraordinary change, and in recognition of his life long commitment to the cause of freedom, justice and human rights in South Africa and the world.

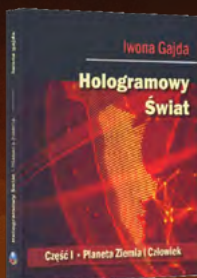
Amnesty International has the honour and pleasure of bestowing upon

Nelson Rolihlalha Mandela

the title of Amnesty International
Ambassador of Conscience

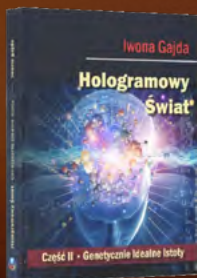
HOLOGRAM

To wyjątkowa podróż po poszukiwaniu sensu życia, zagłębianiu się w aktualną wiedzę i teorie naukowe. Każda część serii to eksploracja tego, co wiemy o świecie i ludzkości w dobie XXI wieku.



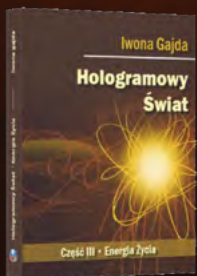
Planeta Ziemia i Człowiek

Bohaterka przeszukuje internet w poszukiwaniu aktualnych informacji ze świata nauki. Chce wiedzieć: skąd wziął się człowiek i jaki jest sens jego istnienia. W odpowiedzi z komputera wylaniają się hologramowi naukowcy, którzy prezentują jej najnowsze odkrycia i teorie naukowe oraz dzielą się swoimi problemami.



Genetycznie Idealne Istoty

W podróży do wnętrza ludzkiego organizmu bohaterka odkrywa mroczny świat genetycznych modyfikacji. Na jej oczach naukowcy próbują stworzyć Genetycznie Idealną Istotę. Jednak zamiast ludzi bez wad powstają mutanci, a władzę nad światem stopniowo przejmują sztuczna inteligencja, eliminując Homo sapiens.

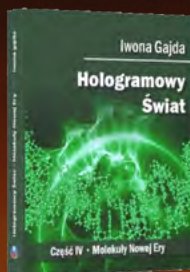


Energia Życia

Przemieniając się w foton energii życia, bohaterka wyrusza w podróż przez czasoprzestrzeń. Stając się świadkiem wydarzeń od czasów pradawnej Pangei po współczesność, doświadcza zjawisk kwantowych, które odsłaniają przed nią tajemnicę istnienia i struktury rzeczywistości.

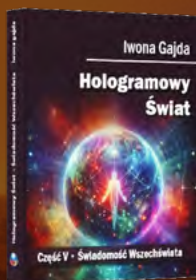
OWY ŚWIAT

Przez połączenie elementów science fiction z refleksją nad ludzką naturą, seria ta zaprasza do zanurzenia się w głębię naszego zrozumienia świata i wszechświata.



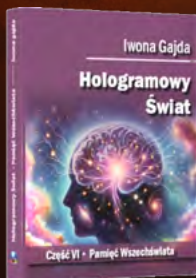
Molekuły Nowej Ery

Za horyzontem zdarzeń Sagittarius A powstaje lepszy świat. Tworzony jest nowy układ słoneczny i nowa Ziemia, które staną się początkiem wspaniałego życia. Ma narodzić się lepsza ludzkość, która zastąpi zło dobrem, a nienawiść miłością. Przemieniona w atom węgla, bohaterka podejmuje misję utworzenia pierwszego genu tej nowej ludzkości.



Świadomość Wszechświata

Podróż po tajemnicach świadomości prowadzi bohaterkę przez fizykę kwantową, filozofię i metafizykę. Przemieniona w Qubit Świadomości, przenosi się do malowniczej Japonii, gdzie odkrywa, jak świadomość może manifestować się zarówno w mikroskopijnych cząstkach, jak i w wielkich strukturach kosmosu.

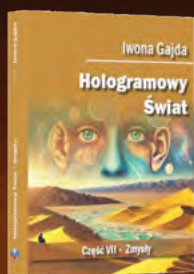


Pamięć Wszechświata

Podróż po tajemnicach świadomości prowadzi bohaterkę przez fizykę kwantową, filozofię i metafizykę. Przemieniona w Qubit Świadomości, przenosi się do malowniczej Japonii, gdzie odkrywa, jak świadomość może manifestować się zarówno w mikroskopijnych cząstkach, jak i w wielkich strukturach kosmosu.

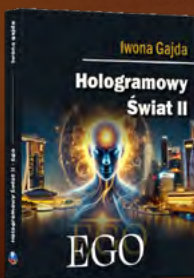
HOLOGRAM

Hologramowy Świat to zaproszenie do przekroczenia granic poznania i spojrzenia na rzeczywistość z perspektywy, w której nauka splata się z duchowością, a człowiek staje się częścią kosmicznej całości.



Zmysy

Przemieniona w fluid energii, bohaterka otwiera drzwi do świata zmysłów – tam, gdzie percepcja nie zna granic. W tej części stawia pytania: co się stanie, gdy zmysły staną się nieskończone? Jak zmieni się nasze postrzeganie rzeczywistości? To podróż w głąb świadomości, gdzie każda wrażliwość może odmienić losy świata.



Ego

Gdy świadomość zostaje poddana próbie, bohaterka zmierza się z cieniem ego – jego iluzjami, pragnieniami i pułapkami. W tej odsłonie staje się świadomą obserwatorką samej siebie, próbując rozpoznać, co naprawdę ją definiuje, gdy przestaje wierzyć w konstrukty zbudowane przez umysł i społeczeństwo.

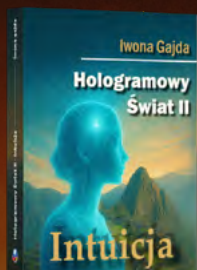


Jazń

Bohaterka odbywa podróż do samego źródła istnienia – tam, gdzie kończy się umysł, a zaczyna prawdziwa świadomość. Staje twarzą w twarz z czystą tożsamością, wolną od iluzji i masek. To mistyczne spotkanie z esencją życia, która scala świat wewnętrzny i zewnętrzny w jedną, harmonijną całość.

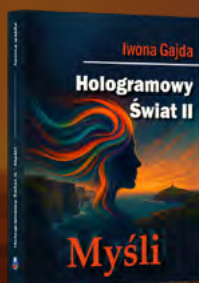
OWY ŚWIAT

Każda strona odkrywa przed czytelnikiem tajemnice ludzkiego istnienia, ukazując, że sens życia może kryć się w samym akcie poznawania wszechświata i siebie.



Intuicja

Kiedy ciało milknie, a ego znika, zostaje tylko subtelny głos istnienia – intuicja. W tej części bohaterka odkrywa, co pozostaje, gdy tracimy kontrolę zmysłów i myśli. To opowieść o tym, co prowadzi nas nieświadomie ku przełomowi – o zaufaniu do niewidzialnego, które może zmienić wszystko.



Myśli - w trakcie pisania

Po duchowej przemianie moje serce nie potrafi odnaleźć się w świecie ego. Każdy dotyk, spojrzenie, dźwięk — rodzi myśli, które przygniatają je ciężarem dawnych dramatów. Przybyłam więc do Irlandii, by święty kamień Lia Fáil zestroił je z ziemią i duszą. Wtedy pojawia się Cormac mac Airt, Wielki Król ze Wzgórza Tara, który wzywa mnie w drogę...

Iwona Gajda

Pisarka, Publicystka. Relacjonuje Świat.

Autorka opowiadań i książek, w których łączy różne gatunki literackie, m.in. fantastykę, literaturę naukową, reportaż, bajkę i powieść. Jej twórczość skupia się na opisywaniu i interpretowaniu rzeczywistości.

W swoich książkach zabiera czytelników w podróż po teraźniejszości i przeszłości narodów, a także zachęca do refleksji nad przyszłością cywilizacji oraz kondycji planety.

Jej bibliografia obejmuje blisko trzydzieści pozycji książkowych, w tym cykl *OKTALOGIA*, który składa się z dwóch serii: *Raport Ziemi* (tom 1–5) i *Granice Ziemi* (tom 6–8). Książki pisane są techniką strumienia świadomości i oscylują między jawą a snem, prezentując oryginalną wizję rzeczywistości. W dorobku autorki znajdują się także trzy tomiki poetyckie.

Zawodowo związana jest z branżą IT. Wyróżnienia:
Strong Women in IT 2021 – Global Edition;
Strong Women in IT 2023 – Global Edition.

Bibliografia

HOLOGRAMOWY ŚWIAT [2023-2024]

Planeta Ziemia i Człowiek
Genetycznie Idealne Istoty
Energia Życia
Molekuły Nowej Ery
Świadomość Wszechświata
Pamięć Wszechświata
Zmysły

HOLOGRAMOWY ŚWIAT II [2025]

Ego
Jaźń

Zwierzęta Przemówiły [2023]

TOMIKI POEZJI [2022-2024]

W Kołowrocie Zmysłów
Kamienne Serca
Podszepty Lasu
Za Głosem Serca

PAPIERÓWKI [2021]

Papierówki w Londynie
Papierówki w Moskwie
Papierówki w Egipcie
Podróże poza czasem

GRANICE ZIEMI [2022]

Bezimienni
Niedotykalni
Ocaleńcy

RAPORT ZIEMI [2021]

Powrót Cesarza
Znaki Czasu
Droga do Raju
Ręka Boga
Czas Snu

W drodze do siebie [2020]

Potomkowie Bogów (Rzym)
Wolność (Paryż)
Rzeka Prawd (Ateny)
Prawa Ulicy (Bukareszt)
Diamentowy Szlak (Lizbona)

WYDANIA ANGLOJĘZYCZNE:

THE HOLOGRAPHIC WORLD

The Earth And Humanity
Genetically Ideal Individuals
The Energy of Life
New Era Molecules
Consciousness of the Universe
The Memory of the Universe
The Senses

The Animals Spoke Up

THE RAPORT OF EARTH

The Emperor's Return
The Signs of Time

AUDIOBOOKI:

Smak Róży
Historia o Miłości
Hologramowy Świat I. Zmysły
Hologramowy Świat II. Ego
Hologramowy Świat II. Jaźń
Hologramowy Świat II. Intuicja

© Copyright by

BPC GROUP POLAND Sp. z o.o.

Katowice 2025

Opracowanie graficzne/skład: Aleksandra Staszak

Korekta tekstu: Agnieszka Gajda

Redakcja: BPC GROUP POLAND Sp. z o.o.

ISBN: 978-83-976701-3-6

Niniejszy utwór stanowi wytwór wyobraźni autora, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych i wydarzeń jest całkowicie przypadkowe.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających czy innych, bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

www.iwonagajda.com

www.bpc-group.pl

www.bpc-guide.pl

Książki zakupić można na autorskiej stronie:



KSIĘGARNIA

Książki dostępne na internetowych platformach sprzedaży:



Google Play

ebookpoint^{PL}

Legimi

KSIĘGARNIA PWN

empik

allegro



GANDALF
com.pl



IBUK

virtualo



tania
ksiazka.pl



KSIĘGARNIA
BORGIS

Jażń – obecność, która jest wszystkim.

Czym jest jaźń? Czy słyszysz jej ciszę, gdy milkną wszystkie słowa, a prawda tańczy poza myślami?

Jażń to dziewiąta część cyklu **Hologramowy Świat** – podróż poza iluzje ego i lęki umysłu, w głąb tego, co w nas niezniszczalne. Książka prowadzi przez mroczne i świetliste dzieje ludzkości – od Genadendal w dniu zniesienia niewolnictwa, przez pieśni Freetown, modlitwy niewolników w Sierra Leone i Liberii, po ciszę Nelsona Mandeli i światło setek bezimiennych istnień.

Nie opowiada historii bohaterów. Odsłania Jaźń – wolność, która nie zależy od rasy, religii ani losu. Obecność, która była, zanim pojawiło się **ja**, i pozostanie, gdy wszystko inne zamilknie.

Oparta na myśli Junga, Jamesa, neuronauce, psychologii transpersonalnej i wielkich tradycjach duchowych, ukazuje Jaźń jako esencję życia i prawdę, w której wszyscy jesteśmy jednym.

Zanurz się w transcendentальnym świecie i dotknij prawdy o sobie.



Iwona Gajda - Pisarka. Publicystka. Poetka. Relacjonuje Świat.

www.iwonagajda.com